80 LAT ŚRODA UKAZUJE SIĘ OD 1945

29 października 2025 NR 253 (18344)

Sport



Spokój Gieksy

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305
Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Żegnaj przyjacielu



Bogdan Nather 1961-2025

Najniższy wymiar kary

GKS Katowice wygrał w Łodzi 2:1, choć powinien zdobyć co najmniej dwa razy więcej goli.



Fot. PAP / Marian Zubrzycki

Ilja Szkurin (z prawej) zdobył drugiego gola w tej edycji Pucharu Polski.

ŁKS Łódź – GKS Katowice
1:2 (0:1)

0:1 – Jędrych, 31 min (karny), 0:2 – Szkurin, 61 min, 1:2 - Jędrych, 84 min (samobójcza)

ŁKS: Jakubowski – Rudol, Craciun, Kupczak – Krykun (76. Jurkiewicz), Ernst, Wysokiński, Toma (65. Szczepański), Norlin (65. Głowacki) – Lewandowski (87. Arasa), Piasecki (76. Balić). Trener Szymon GRABOWSKI.

GKS: Strączek – Kuusk, Jędrych, Łukasiak (83. Rejczyk) – Wasielewski (64. Galan), Kowalczyk (64. Bosch), Łukowski, Rogala – Wędrychowski (64. Błąd), Szkurin, Nowak (79. Klemenz). Trener Rafał GÓRAK.

Sędziował Marcin Szczerbowicz (Olsztyn). **Widzów** 3285. **Żółte kartki:** Piasecki, Arasa – Kowalczyk.

GKS Katowice zawitał do Łodzi na mecz pucharowy z ŁKS-em po dwóch zwycięstwach w lidze z rzędu. Podopieczni Rafała Góraka mieli potwierdzić dobrą formę i awansować do kolejnej fazy, dominując na boisku rywali. I tak rzeczywiście rozpoczął się mecz. W pierwszej połowie gospodarze nie mieli żadnego pomysłu na to, jak powstrzymać katowiczan. Polegali więc na umiejętnościach bramkarza Łukasza Jakubowskiego – dla 18-latka był to pierwszy mecz w barwach pierwszej drużyny ŁKS-u. Golkiper miał sporo pracy, ale piłkarze GieKSy pomagali mu w tym, żeby zyskał w oczach trenera Szymona Grabowskiego. Przykładowo – Ilja Szkurin znalazł się w sytuacji sam na sam, ale zamiast oddać mocne, pewne uderzenie, zdecydował się na podcinkę, na którą nastoletni bramkarz był gotowy. Białorusin podniósł tym samym ciśnienie nie tylko trenera Góraka, ale także kibiców katowickiego klubu, którzy na pierwszego gola musieli jeszcze chwilę poczekać.

GKS-owi pomogli rywale – w 31 minucie Sebastian Rudol popełnił fatalny błąd w defensywie, dzięki czemu piłkę w polu karnym przejął Marcin Wasielewski. Defensor ŁKS-u musiał ratować się faulem, a sędzia musiał wskazać na 11 metr. Rzut karny na gola spokojnie zamienił kapitan Arkadiusz Jędrych.

Biorąc pod uwagę obraz pierwszej połowy, nic nie wskazywało na to, że ŁKS będzie w stanie powrócić do meczu. Tym bardziej że po zmianie stron przyjezdni z Górnego Śląska nadal grali bardzo dobrze. Szkurin musiał przemyśleć swoje zachowanie w sytuacji sam na sam z pierwszej połowy i gdy w 61 minucie, po kolejnym błędzie łódzkiej defensywy, znów wyzwał bramkarza na pojedynek, po prostu uderzył najmocniej, jak potrafi, podwyższając prowadzenie.

Do tego czasu GKS powinien prowadzić nie dwoma golami, a co najmniej czterema. Gdyby taki scenariusz się spełnił, wówczas ekipa Rafała Góraka mogłaby bezproblemowo dotrwać do końca rywalizacji. Zrobiło się jednak nerwowo, ponieważ w 84 minucie goście złapali kontakt po samobójczym trafieniu Jędrycha. Ten skiksował, gdy próbował wybić futbolówkę poza pole karne, a chwilę później Rafał Strączek musiał wyciągać piłkę z siatki. ŁKS poczuł, że przed ostatnim gwizdkiem jest jeszcze w stanie doprowadzić do wyrównania, więc ruszył do ataku, ale na popełnienie kolejnego błędu katowiczanie już sobie nie pozwolili. Utrzymali rezultat prowadzenie i awansowali do 1/8 finału Pucharu Polski.

Kacper Janoszka

Gol zupełnie przyziemny

Wicelider zaplecza ekstraklasy wyrzucił z pucharowej drabinki wicelidera II ligi.

Kibice w Grudziądzu mieli wielki apetyt na kolejną niespodziankę. Kolejną, bo przecież Olimpia w tym sezonie za burtę pucharowych zmagań wyrzuciła już Wieczystą i to wygrywając na jej terenie. Dodatkową przesłanką do optymizmu był niedawny (65 dni wcześniej) mecz ligowy grudziądzan z.... rezerwami klubu z Areny Tarczyński, wygrany przez nich 3:2. Co prawda kadry obu wrocławskich drużyn są „rozłączne", ale... Śląsk to Śląsk.

W owym sierpniowym starciu wynik otworzył Oskar Sewerzyński, skutecznie egzekwując rzut karny. W najczarniejszych snach wychowanek Korony, rozgrywający drugi sezon w barwach Olimpii, nie mógł przypuszczać, że od jego boiskowego niefartu zacznie się rozstrzygająca akcja spotkania. To właśnie on, potykając się na piłce w kółku środkowym, uruchomił akcję Jorge Yriarte. Wenezuelczyk „depnął" na tyle błyskawicznie, że próbujący go ścigać i przewracać chwytem za koszulkę Kacper Cichoń... nie zdołał zapracować faulem na sędziowskie upomnienie.

– Nasza akcja bramkowa była naprawdę ładna. Cieszę się, że to, co rozpoczęłem, moi koledzy potrafili tak dobrze wykończyć – mówił latynoski pomocnik z hiszpańskim paszportem. Prostopadłym podaniem otworzył bowiem drogę w „szesnastkę" Luce Marjanacowi, a ten „na długim słupku" znalazł Damiana Warchoła i... zrobiło się 0:1. To było drugie w życiu trafienie 30-latka na boisku w Grudziądzu. Poprzednie zaliczył... dziewięć lat wcześniej, będąc przez dziesięć miesięcy piłkarzem pierwszoligowej wówczas Olimpii. Co ciekawe – jego partnerem klubowym był wtedy Mariusz Malec, który wtorkowy mecz przesiedział jednak na ławce Śląska.

Podanie Marjanaca wrocławski napastnik zamknął strzałem po ziemi. Na wygranie „główki" z gospodarzami szanse miał natomiast niewielkie. – Gra głową jest jednym z moich atutów, ale przeciwnicy byli bardzo silni w kontakcie – analizował Warchoł w rozmowie z klubowymi mediami. – Warunki fizyczne obrońców Olimpii były aż „niepiłkarskie", bardziej pasujące do sztuk walki czy koszykówki, a nie futbolu. Tym bardziej się cieszę, że wpadła jedna bramka i gramy dalej – dodawał snajper, dla którego był to szósty gol w tym sezonie. **(DaL)**

Olimpia Grudziądz – Śląsk Wrocław
0:1 (0:0)

0:1 – Warchoł, 79 min

OLIMPIA: Sobolewski - Fietz, Zbiciak, Czajka, Klimczak (61. Ciupa) - Moneta (83. Krocz), Sewerzyński, Frelek, Cichoń, Koperski (66. Kaczmarek) - Pawłowski (83. Mas). Trener Artur KOSZNICKI.

ŚLĄSK: Głogowski - Guercio, Szota, Dijakovic, Kurowski - Kozak, Yriarte, Jezierski, Halimi (66. Klimek), Szarabura (66. Marjanac) - Warchoł (82. Banaszak). Trener Ante SIMUNDZA.

Sędziował Karol Wójcik (Siedlce). **Żółte kartki**: Klimczak, Zbiciak.

ZESTAW PAR PUCHARU POLSKI

1/16 FINAŁU PUCHARU POLSKI

Środa

Avia Świdnik - Flota Świnoujście	12.00
Hutnik Kraków - Wisła Kraków	13.00
Widzew Łódź - Zagłębie Lubin	17.30
Puszcza Niepołomice - Lechia Gdańsk	19.15
Raków Częstochowa – Cracovia	20.30

Czwartek

Gryf Słupsk - Lech Poznań	12.00
Miedź Legnica - Jagiellonia Białystok	15.00
Arka Gdynia - Górnik Zabrze	18.00
Legia Warszawa - Pogoń Szczecin	21.00

■ Losowanie 1/8 finału odbędzie się we wtorek 4 listopada o godz. 12.00. Mecze tej fazy zostaną rozegrane 2-4 grudnia.

Znicz Pruszków - Korona Kielce
0:3 (0:1)

0:1 - Rubežić, 15 min, 0:2 - Rubežić, 47 min, 0:3 - Nikołow, 60 min (karny)

ZNICZ: Napieraj - Tabara, Ochronczuk (67. Pawlik), Jach, Koprowski, Konieczny (74. Składowski) - Proczek (61. Borecki), Plewka, Ciepiela - Mak (61. Majewski), Karol (61. Bąk). Trener Peter STRUHAR.

KORONA: Mamla - Popow (81. Matuszewski), Rubežić, Smolarczyk, Budnicki, Pięczek - Davidović (55. Błanik), Kamiński, Svetlin (63. Remacle), Niski (55. Nono) - Nikołow. Trener Jacek ZIELIŃSKI.

Sędziował Albert Różycki (Łódź). **Żółte kartki:** Ochronczuk, Składowski, Jach. **Czerwona kartka**: Składowski (87. druga żółta).

Zawisza Bydgoszcz - GKS Wikielec
3:0 (0:0)

1:0 – Bojas, 58 min, 2:0 – Staniak, 75 min, 3:0 – Kozłowski, 78 min

ZAWISZA: Oczkowski - Wszołek (84. Śmiglewski), Golak, Staniak, Sławek - Strzyżewski (79. Bogusiewicz), Kona, Szramowski, Cywiński (79. Skórecki), Prałat (46. Rak) - Bojas (66. Kozłowski). Trener Adrian STAWSKI.

WIKIELEC: Włodarczyk - Dąbrowski (73. Tatarenko), Kubáň, Bosse (73. Starbała), Górecki, Bajko - Sobociński, Animashaun (27. Romanik), Zieliński (85. Hrebeń), Nagano - Chaciński (73. Frątczak). Trener Mateusz SOBIERAJ.

Sędziował Maciej Pelka (Poznań). **Żółta kartka** Zieliński.

Chojniczanka - Świt Szczecin
3:1 (1:1)

0:1 – Kort, 6 min, 1:1 – Sabala, 37 min, 2:1 – Eizenchart, 54 min, 3:1 – Sabala, 77 min (karny)

CHOJNICZANKA: Primel - Goliński, Bykow, Tkocz - Bąkowicz, Nowacki, Szczepanek (78. Michalik), Shibata, Eizenchart - Sabala (83. Kamiński), Kozina (74. Firlej). Trener Marek BRZOZOWSKI.

ŚWIT: Klon - Nowicki (67. Woźniak), Remisz, Rogala, Góral, Ciechanowski - Kort, Tkaczuk (67. Aftyka), Wojdak - Kapelusz (46. Lebedyński), Ropski. Trener Tomasz KAFARSKI.

Sędziował Damian Krumplewski (Olsztyn).

Sport 6eff6eae49

Kwadrans i po herbacie

Z dużej chmury mały deszcz. Trzecioligowa jedenastka z Goczałkowic-Zdroju dostała siedmiobramkową lekcję od pierwszoligowca z Bytomia, a kapitan Polonii Tomasz Gajda popisał się klasycznym i efektownym hat trickiem.

Nie było co zbierać, Polonia pokazała, że nie bez powodu jest czołowym zespołem pierwszej ligi – komentował na gorąco klęskę 0:7 grający trener rezerw miejscowego KS-u PanattoniGoczałkowice Łukasz Piszczek. Formalnie drużyna gospodarzy występuje na szóstym poziomie rozgrywkowym, ale zagrała w składzie trzecioligowym.



Fot. Łukasz Sobala / Press Focus

Tomasz Gajda (przodem) trzykrotnie odbierał gratulacje od kolegów, a w sumie Polonia miała w Goczałkowicach-Zdroju aż siedem okazji do celebracji.

Gajda jak... Deyna!

Były znakomity reprezentant Polski wrócił na boisko po wyleczeniu kontuzji, ale razem z młodszymi kolegami musiał przełknąć gorzką pigułkę. Gospodarze, którzy w 1. rundzie STS Pucharu Polski wyeliminowali spadkowicza z I ligi Stal Stalowa Wola (3:1 po dogrywce) i nie ukrywali apetytów na kolejną niespodziankę, tym razem boleśnie poczuli siłę beniaminka drugiego szczebla rozgrywkowego.

Polonia rozstrzygnęła sprawę już po kwadransie, a w roli kata „Goczałów" wystąpił Tomasz Gajda. Kapitan Niebiesko-czerwonych w ciągu 10 minut skompletował klasycznego hat tricka. I to jakiego! Nie umniejsza tego nieporadność w bramce gospodarzy Alessio Valiona.

W 7 minucie Gajda rozpoczął od celnej finalizacji podania Kacpra Terleckiego, potem zza bocznej linii pola karnego zaskoczył ukraińskiego golkipera strzałem z rzutu wolnego pod poprzeczkę, aż wreszcie w 16 minucie - ponownie wykorzystując siłę i kierunek wiatru - trafił bezpośrednio po rzucie rożnym, niczym Kazimierz Deyna w 1977 roku w pamiętnym meczu reprezentacji z Portugalią na Stadionie Śląskim czy ostatnio Sebastian Szymański w spotkaniu z Litwą! Co prawda przy tym trafieniu polonisty było nieco wątpliwości, czy piłka zanim nie wpadła do siatki, nie odbiła się jeszcze od zawodnika gospodarzy, ale ostatecznie uznano, że zanim Valion trącił futbolówkę, ta minęła już linię bramkową.

Tym samym ambitne zapędy Piszczka i jego kompanii oraz miejscowych kibiców - w tym młodych adeptów futbolu z działającej na goczałkowickich obiektach Akademii Borussii Dortmund - zostały zduszone w zarodku.

Wiatr w żagle gości

Po losowaniu sędziego poloniści z premedytacją wybrali grę w ataku z silnym wiatrem i swoim znakiem firmowym - wysokim pressingiem - stłamsili gospodarzy, którzy niezwykle rzadko byli w stanie przenieść grę z własnej połowy; a gdy próbowali dalekim wykopem ominąć wzmocnioną przez trenera Polonii Łukasza Tomczyka pięcioosobową drugą linię rywali, wiatr zawieszał piłkę w powietrzu. Dość powiedzieć, że w pierwszych 45 minutach „Goczały" nie oddały celnego strzału na bramkę strzeżoną przez Klaudiusza Mazura, jeszcze wiosną bramkarza miejscowej drużyny. Golkiper bytomian po raz pierwszy musiał interweniować w 47 minucie, ale uderzenie Jacka Wuwera nie sprawiło mu żadnych trudności.

A przyjezdni jeszcze przed przerwą podwyższyli wynik za sprawą główki Terleckiego, a kolejne trafienie - Jakuba Araka - anulował VAR, bo wcześniej piłka trafiła w rękę Kacpra Michalskiego...

- Chcieliśmy szybko otworzyć mecz, bo to zawsze sprzyja i mocno odpowiedzieć na ligową porażkę z Polonią Warszawa (1:2 w sobotę - przyp. red.) poniesioną w kiepskich okolicznościach. Udało się. Chciałbym teraz wylosować jak najlepszą drużynę z ekstraklasy i zagrać u siebie - podsumował Łukasz Tomczyk, który już w drodze na przerwę radośnie ściskał się z Arakiem.

Niech żyje rezerwa!

Po zmianie stron gospodarze stworzyli kilka groźnych sytuacji, zwłaszcza po rzutach rożnych, ale kolejne gole zdobywali rezerwowi bytomianie: 17-letni debiutant Antoni Burkiewicz, który po akcji Grzegorza Szymusika zachował się jak profesor, weteran Patryk Stefański, który efektownie zabawił się z piłką i huknął z woleja oraz Kamil Wojtyra, który przytomnym szpicem zakończył festiwal Polonii.

Wynik mógł być jeszcze wyższy, ale dwukrotnie z linii bramkowej piłkę wybijał Piszczek. - Nie ma dramatu, dla nas ten mecz to był bonus, graliśmy na tym szczeblu po raz pierwszy z pierwszoligową drużyną, która pokazała nam miejsce w szeregu. Ale na poziomie trzeciej ligi jesteśmy jedną z wiodących sił i będziemy robić wszystko, żeby dalej wygrywać - zapowiedział bojowo 66-krotny reprezentant Polski.

Tomasz Mucha

KS Panattoni II Goczałkowice-Zdrój – Polonia Bytom 0:7 (0:4)

0:1 - T. Gajda, 7 min, 0:2 - T. Gajda, 14 min (wolny), 0:3 - T. Gajda, 16 min (rzut rożny), 0:4 - Terlecki, 34 min (głową), 0:5 - Burkiewicz, 61 min, 0:6 - Stefański, 80 min, 0:7 - Wojtyra, 89 min.

KS II: Valion - Piszczek (67. M. Gajda), Rabczak (46. Zięba), Będzieszak - Mras, Płonka (46. Flasz), Wuwer, Żagiel (58. Duda), Bąk - Wróblewski, Kiklaisz (76. Maśka). Trenerzy Przemysław GOMUŁKA i Łukasz PISZCZEK.

POLONIA: Mazur - Szymusik, Krzyżak, Szymański - Apolinarski (66. Stefański), Terlecki, Łabojko (66. Bakala), T. Gajda (57. Burkiewicz), Michalski - Kwiatkowski (66. Andrzejczak), Arak (57. Wojtyra). Trener Łukasz TOMCZYK.

Sędziował Paweł Horożaniecki (Żary). **Żółte kartki:** Piszczek, Mras - Kwiatkowski, Bakala. **Widzów**: 500.

Polonia pokazała różnicę

Rozmowa z **Łukaszem Piszczkiem**, grającym trenerem KS-u Panattoni Goczałkowice

Jeżeli ktoś spodziewał się, że raz jeszcze sprawicie niespodziankę, musiał poczuć się rozczarowany już po niewiele ponad kwadransie. Szkoda?

– Szkoda. Ale cóż, Polonia zagrała mocnym pressingiem w pierwszej połowie i... nie było co zbierać. My chcemy grać w piłkę od tyłu, ale tym razem to nie było możliwe. Błędy indywidualne, jakie popełniliśmy, rywale skrupulatnie wykorzystali.

Nie jest tak, że pańscy młodsi, mniej doświadczeni koledzy za bardzo bali się właśnie tego, by błędów nie popełniać? I się „spalili", przegrywając z presją?

– Nie wiem, czy pan zwrócił uwagę na to, że choć przegrywaliśmy już 0:4, dalej próbowaliśmy grać swoją piłkę. Więc tu nie chodzi o presję. Po prostu Polonia pokazała różnicę. Przegraliśmy zasłużenie.

Generalnie jednak trochę w tej edycji Pucharu Polski „narozrabialiście"...

– Chcieliśmy w pierwszej rundzie sprawić niespodziankę i to się nam udało ze Stalą Stalowa Wola. Wiedzieliśmy jednak, że w drugiej będziemy mierzyć się z rywalem zdecydowanie większego kalibru i Polonia to potwierdziła. Nie bez powodu jest czołową drużyną w I lidze.

Panu osobiście wciąż fantazji nie brakuje. „Zawinął" pan bezpośrednio z rzutu rożnego tak, że niemal wpadło.

– Zarówno w tej sytuacji, jak i w wielu innych, wiatr odegrał sporą rolę. Myślę, że również z tego powodu Polonia po losowaniu wybrała konkretną połowę, żeby nas stłamsić i to się jej udało.

Często będzie pan pokazywać ten mecz swej drużynie w celach szkoleniowych?

– W ogóle nie będę pokazywać. Jeśli któryś z chłopaków będzie chciał sobie ten mecz zobaczyć raz jeszcze, to niech to zrobi. My, jako sztab, pewnie go przeanalizujemy, ale w piątek mamy już kolejny mecz ligowy, z rezerwami Górnika, więc będziemy się koncentrować na tym, by przygotować się do niego i go wygrać.

Jacek Wuwer powiedział wprost, że waszym celem jest awans do II ligi. Potwierdza pan?

– Mamy swoje cele, ale ich realizacja nie weźmie się od mówienia, tylko od grania na boisku. Jeśli na nim będziemy wyglądać tak bojaźliwie – chociaż pressing Polonii był naprawdę mocny – wtedy będzie trudniej je osiągnąć.

Rozmawiał i notował Dariusz Leśnikowski



Łukasz Piszczek i strzelał na bramkę Polonii, i bronił własnej bramki, dwukrotnie wybijając piłkę z linii. Na pierwszoligowca to jednak nie starczyło...

TRZY PYTANIA DO...

Bytomskie **DNA**

TOMASZA GAJDY, kapitana Polonii Bytom



1. Polonia Bytom nie dała najmniejszych szans Goczałkowicom. Jak ten mecz wyglądał z perspektywy murawy?

– Wynik mówi sam za siebie. Uważam, że zagraliśmy bardzo dobrze, przyjechaliśmy odpowiednio nastawieni. Wiedzieliśmy, że rywale będą mocno zmotywowani. Znam kilku zawodników z Goczałkowic, kilku z nich grało kiedyś w Polonii, mieli więc coś do udowodnienia. Mecz dobrze się dla nas ułożył, szybko otworzyliśmy wynik i zapracowaliśmy na to zwycięstwo.

2. Widać było, że nie zlekceważyliście rywala z niższej klasy rozgrywkowej. Pomimo sporej przewagi walczyliście o każdą piłkę przez 90 minut...

– Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że zawodnicy z Goczałkowic mają jakość. Przyjechaliśmy na ten mecz po porażce w lidze. Chcieliśmy po kilku dniach od przegranej z Polonią Warszawa odpowiedzieć pewnym zwycięstwem. Nie zlekceważyliśmy rywala, bo takie jest nasze DNA, takie mamy założenia taktyczne, że zawsze dużo biegamy, zawsze próbujemy zaskoczyć przeciwnika pressingiem. Niezależnie od tego, z kim się mierzymy, zawsze gramy na sto procent.

3. Ustrzelił pan we wtorek hat tricka, choć zastanawialiśmy się, czy trzecią bramkę należy zaliczyć panu, czy może było to trafienie samobójcze. Niezależnie od tego – dwie bramki padły po stałych fragmentach wykonywanych przez pana. To powód do dodatkowej radości?

– Nieważne, czy były to dwie, czy trzy bramki. Cieszę się oczywiście z tego, że dwa z tych goli padły po stałych fragmentach, bo kładziemy nacisk na ten element. Najważniejsze jest jednak to, że drużyna wygrała. Idziemy po Puchar Polski! Chcemy zajść jak najdalej i skupiamy się na tym, żeby grać jak najlepiej.

Rozmawiał Kacper Janoszka

Sport 6eff6eae49

Pucharowe przełamanie

Daniel Myśliwiec poprowadził gliwiczan do swojego pierwszego zwycięstwa w Piaście.

Odra Opole – Piast Gliwice
0:2 (0:1)

0:1 - Dalmau, 28 min, 0:2 - Cassio, 59 min (samobójcza)

ODRA: Haluch - Milos (46. Lucas Ramos), Piroch, Chrzanowski - Nowak (46. Prikryl), Cassio, Tront, Szrek - Perez (81. Mida), Muratović (68. Przybyłko), Kobusiński (68. Łyszczarz). Trener Jarosław SKROBACZ.

PIAST: Szymański - Mokwa, Rivas, Drapiński, Lewicki - Felix (86. Mucha), Dziczek, Leśniak (62. Tomasiewicz), Vallejo (71. Boisgard) - Chrapek (71. Sanca), Dalmau (71. Jirka). Trener Daniel MYŚLIWIEC.

Sędziował Tomasz Kwiatkowski (Warszawa). **Widzów** 5000. **Żółte kartki:** Kobusiński - Lewicki, Tomasiewicz.

Teoretycznie Odrę i Piasta dzieli różnica klasy i wynik pucharowego meczu w Opolu to potwierdził, bo gliwiczanie wygrali 2:0. Wszak opolanie grają na co dzień w I lidze, a gliwiczanie w ekstraklasie.

Gdyby jednak dokładniej przyglądnąć się miejscom zajmowanym w tabelach przez te drużyny, to okaże się, że ten dystans wynosi tylko dziewięć miejsc. Plasująca się bowiem w środku tabeli zaplecza ekstraklasy ekipa Jarosława Skrobacza podejmowała ostatni w klasyfikacji krajowej elity zespół Daniela Myśliwca. Albo popatrzmy jeszcze inaczej. Gospodarze, mający serię ośmiu spotkań bez porażki, podejmowali gości, którzy niezadowoleni z dotychczasowych wyników zwolnili trenera, a nowy szkoleniowiec dwa dni po rozpoczęciu pracy musiał przełknąć gorycz porażki w Gdyni i po przejechaniu niemal całej Polski w piątym dniu prowadzenia zespołu zawitał do Opola.



Fot. Mateusz Porzucek / Press Focus

Brazylijczyk Cassio (52) ustalił wynik meczu, trafiając do... własnej bramki.

Do tego dodajmy, że obaj trenerzy w 1/16 finału Pucharu Polski zaskoczyli przeciwnika składem. W wyjściowej jedenastce miejscowych było aż osiem zmian w porównaniu z ostatnim występem ligowym. Również przyjezdni zaprezentowali osiem nowych twarzy, biorąc pod uwagę grę w sobotę nad morzem. Obaj szkoleniowcy zapewniali jednak, że wystawili swoje najsilniejsze na ten moment składy, myśląc o awansie do następnej rundy.

Pewniej w mecz weszli opolanie, korzystający w pierwszym kwadransie przede wszystkim z dalekich wyrzutów piłki z autu przez Jakuba Szreka. Cassio główkował jednak obok bramki, a Adam Chrzanowski uderzył celnie, ale za lekko i Karol Szymański mógł się popisać paradą.

Gliwiczanie pierwszy sygnał ostrzegawczy wysłali w 25 minucie, gdy Adrian Dalmau strzelał z 15. metra, ale dobrze ustawiony Artur Haluch nie miał problemu ze złapaniem futbolówki. Chwilę później 31-letni Hiszpan już jednak sfinalizował akcję rozpoczętą długim podaniem przez Oskara Leśniaka i po dokładnym dograniu z prawego skrzydła Igora Drapińskiego wyprowadził gości na prowadzenie. Nie dość, że zgubił krycie, to jeszcze zanim dobiegł do niego Mato Milos, piłka po płaskim strzale z 10. metra wylądowała w siatce.

Po tym trafieniu zawodnicy Piasta nabrali pewności siebie i utrzymując się dłużej przy piłce (61 procent w pierwszej połowie), na przerwę schodzili bardzo zadowoleni. Natomiast w szatni gospodarzy w przerwie doszło do wstrząsu, bo Jarosław Skrobacz dokonał dwóch roszad oraz przestawił ustawienie. I znowu przez kwadrans gry wydawało się, że opolanie złapali rytm, ale Joshua Perez nie wykorzystał prezentu bramkarza Piasta, który także poradził sobie z celnym uderzeniem Lucasa Ramosa z 20 metra oraz zbyt lekkim strzałem głową Szymona Kobusińskiego.

Pisząc z przekąsem, można stwierdzić, że opolanie tak bardzo chcieli strzelić gola, że dopięli swego. W 59 minucie Hugo Vallejo dośrodkował bowiem piłkę w pole karne Odry, a tam Juande Rivas odegrał główką na szósty metr, gdzie próbujący ratować sytuację Cassio, interweniował tak niefortunnie, że pokonał własnego bramkarza. Tym samym ustalił rezultat i zapewnił Piastowi awans.

Co prawda Odra dalej przeważała i groźnie atakowała, a Piast kontrował i do końca było na co popatrzeć, ale ostatecznie Daniel Myśliwiec w starciach z Jarosławem Skrobaczem może zapisać pierwsze zwycięstwo i na pewno optymistycznie patrzy w przyszłość nie tylko pucharową. Opolanom zaś pozostała już tylko walka o ligowe punkty.

Jerzy Dusik

Chcą wziąć rewanż

Mecz z Cracovią traktowany jest w Częstochowie priorytetowo. Odpadnięcia z Pucharu Polski na tym etapie nikt pod Jasną Górą nie bierze pod uwagę!

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Puchar Polski wywołuje w Częstochowie dość ambiwalentne skojarzenia. Z jednej strony to początek największych sukcesów klubu na początku trzeciej dekady XXI wieku, kiedy to Raków trzy razy z rzędu zameldował się w finale, dwa razy (2021, 2022) zdobywając trofeum. Z drugiej poprzednia edycja była dość wstydliwa – częstochowianie odpadli, z anim tak na dobrą sprawę zaczęły się zmagania – w 1/32 finału polegli z Miedzią Legnica, a więc... rundę wcześniej niż teraz. Zanim w klub zainwestował Michał Świerczewski, w Rakowie pamiętają też dość regularne odpadanie na poziomie... rundy przedwstępnej z Limanovią.



Fot. Grzegorz Misiak / Press Focus

Oliwier Zych liczy na to, że na dłużej pozostanie między słupkami w Rakowie.

Starzy znajomi

Los sprawił, że w obecnej edycji już na poziomie 1/16 finału mamy kilka absolutnych hitów (na czoło wybija się starcie finalistów poprzedniej edycji, Legia Warszawa - Pogoń Szczecin), a jednym z nich będzie właśnie starcie przy Limanowskiego. O ile w lidze Cracovia jest prawdziwą zmorą Rakowa, to w Pucharze Polski jest już nieco lepiej dla Medalików. Oba kluby trafiają na siebie w krajowym pucharze dość regularnie, bo co dwa lata. Spotkają się po raz czwarty od powrotu Rakowa do ekstraklasy w 2019 roku, nigdy jednak na tak wczesnym etapie. W grudniu 2019 w przenikliwym zimnie przy Kałuży Cracovia pod wodzą Michała Probierza okazała się lepsza po karnych na etapie 1/8 finału. Kolejne dwie próby jednak wygrał Raków. W kwietniu 2021 wygrana 2:1 po trafieniach Jakuba Araka oraz Vladislava Gutkovskisa w półfinale utorowała częstochowianom drogę do końcowego triumfu w pandemicznym sezonie. W sezonie 2023/24 oba kluby ponownie spotkały się w 1/8 finału, lepszy okazał się Raków (pod wodzą Dawida Szwargi) po trafieniu Milana Rundicia w 3 minucie dogrywki (1:0).

Przegrywasz – odpadasz

Cracovia w tym sezonie jest jedną z największych rewelacji, Raków w lidze przegrał już pięć spotkań, dlatego nie może zamknąć sobie pucharowej ścieżki do Europy na tak wczesnym etapie. Do tego chce się zrewanżować Pasom za porażkę sprzed półtora tygodnia (0:2), która mocno wywróciła równowagę w obozie wicemistrzów Polski. – Tamten mecz nam nie wyszedł i mamy tego pełną świadomość. Mam nadzieję, że teraz pokażemy, na co nas stać i wygramy. Chcemy, żeby kibice byli tym razem zadowoleni po meczu z Cracovią – mówi Tomasz Pieńko, którego trafienie dało częstochowianom wygraną w niedzielę z Lechią 2:1. Mocną chęć odwetu odczuwa również Marek Papszun. – To będzie bardzo ważny mecz też dlatego, że przegraliśmy tam w sposób zdecydowany. Będziemy chcieli po sportowemu się zrewanżować. To jest pierwszy, najważniejszy cel. Drugi to gra dalej o Puchar Polski. Tutaj zasady są proste: przegrywasz – odpadasz. Chcielibyśmy trafić tam, gdzie już trzy razy z moim udziałem byliśmy, czyli do finału – nie kryje ambitnych planów szkoleniowiec.

Raków wpadł w rytm gry co trzy dni. – Nie ma czasu na odpoczynek. Zawodnicy, którzy są w kadrze, muszą grać czy są zmęczeni, czy nie – mówi trener Papszun. Mecz z Lechią rozpoczęło tylko czterech zawodników, którzy trzy dni wcześniej wybiegali na stadion w Ołomuńcu w starciu Ligi Konferencji z Sigmą, ale tym razem – biorąc pod uwagę stawkę środowego meczu – zbyt wielu roszad w składzie częstochowian nie należy się spodziewać. W bramce pozostanie prawdopodobnie Oliwier Zych, który w niedzielę zadebiutował w Rakowie i spisał się bardzo dobrze. – Pokazaliśmy charakter i mam nadzieję, że dalej będziemy go pokazywać. Jestem od tego, aby pomóc drużynie. Z Cracovią niedawno graliśmy, więc wiemy, czego się spodziewać. Jest w nas duża chęć rewanżu – mówi były bramkarz Aston Villi. W napadzie tym razem można spodziewać się Jonatana Brunesa, Imad Rondić oraz Patryk Makuch mają bowiem poważne problemy z finalizowaniem okazji bramkowych.

Mariusz Rajek

Sport 6eff6eae49



Fot. Ireneusz Wnuk / Press Focus.

Widzewiacy (czerwone stroje) na razie mocno obrywają po głowie...

W cieniu Kamila Sabiłły...

Co za czasów dożyliśmy! Po ostatnim weekendzie najlepszą drużyną piłkarską w województwie łódzkim jest... Unia Skierniewice!

WIDZEW ŁÓDŹ

ŁKS i Widzew przegrały swoje mecze w bezdyskusyjny sposób, Unia wygrała natomiast w Rzeszowie z Resovią i jest liderem II ligi. Już dawno zapomnieliśmy o takich klubach jak Start i Włókniarz Łódź, Piotrcovia i Concordia z Piotrkowa Trybunalskiego, Lechia Tomaszów Mazowiecki, PTC i Włókniarz z Pabianic, Boruta Zgierz, Pelikan Łowicz, RKS Radomsko, Ceramika Opoczno i GKS Bełchatów. O piłkarskim potencjale regionu łódzkiego przypomina teraz Unia, która na szczeblu centralnym nigdy wcześniej nie grała.

Sportowe i medialne wpadki

A co Unia ma do środowego meczu Widzewa z Zagłębiem? Najlepszym zawodnikiem zespołu ze Skierniewic jest 31-letni Kamil Sabiłło, który na początku seniorskiej kariery grał w rezerwach Zagłębia, a dziewięć lat temu trafił do trzecioligowego wówczas Widzewa, ale po rundzie jesiennej oddany został bez żalu Unii Skierniewice. Jego talent długo się budził i wybuchł dopiero w sezonie 2021/22, gdy zdobył dla Unii 22 bramki. Od tego czasu strzela jak karabin maszynowy, a jego dorobek to 87 goli w niespełna cztery i pół sezonu! Tej jesieni trafił już dla Unii aż 11 razy.

Nie oznacza to oczywiście, że w Zagłębiu, Widzewie, Rakowie, Wigrach i KKS-ie Kalisz, gdzie również grał, na nim się nie poznali. III i II liga to jednak nie ekstraklasa – Sabiłło znalazł swoje miejsce w Skierniewicach, ale ekstraklasowej kariery już nie zrobi, chociaż... Pamiętacie Grzegorza Piechnę, który trafił do Korony, mając 28 lat, został królem strzelców w sezonie 2005/06 i zagrał w reprezentacji Polski? Skierniewice są za blisko. Widzew sięga dalej i głębiej. Taki Andi Zaqiri na przykład, reprezentant Szwajcarii, wart jest przecież tyle, co ze dwudziestu napastników klasy Sabiłły...

Po ostatnich sportowych i medialnych wpadkach nie sposób uciec od ironii w ocenie działań łódzkiego klubu i gry Widzewa. Mamy do czynienia z bardzo chwiejną konstrukcją, którą burzy najmniejszy wstrząs. O porażce w Lublinie zdecydował jednak nie tylko brak w składzie Juljana Shehu. Taki Peter Therkildsen na przykład, najlepszy piłkarz poprzedniego meczu z Radomiakiem, w Lublinie „popisał się" istnym hat trickiem błędów, bo obciążają go wszystkie trzy stracone bramki.

Potrzebna rewolucja

To nie będzie łatwy tydzień dla Widzewa, po Zagłębiu do Łodzi przyjedzie Legia. Z jednej strony puchar – jak się nie bez racji podkreśla – jest najłatwiejszą i najkrótszą drogą do Europy, o czym w Widzewie od wielu lat marzą, z drugiej jednak nie ma marginesu błędu, bo wszystkie pięć meczów, jakie pozostały, trzeba wygrać. W ostatnich sezonach (po „reaktywacji") Widzew nie przeszedł nigdy ćwierćfinału, a w okresie swojej wielkości i chwały tylko raz grał w finale, pokonując w składzie z Romanem Wójcickim, Markiem Dziubą, Dariuszem Dziekanowskim i Włodzimierzem Smolarkiem GKS Katowice z Franciszkiem Sputem, Piotrem Piekarczykiem i Janem Furtokiem po rzutach karnych 3-1 (wcześniej był bezbramkowy remis). Bohaterem tego meczu był Henryk Bolesta, który obronił trzy karne, a potem sam decydującym strzałem pokonał Sputa.

Puchar kusi, ale liga też ma swoje prawa, dochodzi więc często w meczach pucharowych do rotacji w składzie. A Widzew ma kim „rotować", od bramkarza po środkowego napastnika. Paradoksalnie najbardziej stabilną formacją w drużynie jest obrona, której kadrowy wstrząs przydałby się najbardziej.

Widzew grał w Lublinie w piątek, tak więc tydzień zespół zaczął już niedzielnym treningiem. Trener Igor Jovicević mówi, że bramki należy zdobywać odwagą. Odwaga potrzebna jest też do zrobienia rewolucji w składzie.

Wojciech Filipiak

Spotkanie po latach

Ostatni oficjalny mecz pomiędzy Hutnikiem i Wisłą został rozegrany, gdy do przejęcia tej drugiej dopiero przymierzał się Bogusław Cupiał.

Biała Gwiazda była wtedy u progu złotych czasów, o których jeszcze nikt nie marzył. Z kolei dla Dumy Nowej Huty kończyła się siedmioletnia – jedyna jak dotąd – przygoda z ekstraklasą, w której zawarły się także niezapomniane do dziś spotkania w eliminacjach europejskich pucharów. Kilka miesięcy później Polska ucierpiała przez „powódź tysiąclecia".

Stadion się sypie

Od ostatniego meczu Wisła - Hutnik o stawkę (0:0, 5 marca 1997 r.) minęło ponad 28 lat. Nowohucianie wygrali kilka miesięcy wcześniej (2:0, 31 lipca 1996 r.), gdy po raz ostatni podejmowali lokalnego rywala u siebie. Wiele się od tego czasu zmieniło, ale nie stadion przy ulicy Ptaszyckiego. Od lat jest pudrowaną ruiną i w najbliższym czasie nie zanosi się, że 300-tysięczna dzielnica Krakowa i jeden z ważniejszych klubów doczeka się godnego obiektu. Licznik zadłużenia miasta zbliża się do 8 miliardów złotych, a firma Cognor, właściciel klubu, sama ma problemy, ostatnio ograniczyła finansowanie Hutnika i też nie będzie się porywać z motyką na Słońce. – Możemy liczyć jedynie na kolejną pseudomodernizację, której celem jest podniesienie standardów licencyjnych. Standard trochę się podniesie, natomiast nadal będzie to niezbyt ładny symbol dobrze rozwijającego się miasta. Trybuna przed trybuną, rozwalające się ogrodzenia. Czego człowiek nie dotknie, to się rozpada – nie ukrywa Artur Trębacz, prezes klubu. Około 2,5 mln zł, które miasto miało na zlecenie przygotowania projektu nowego stadionu do końca czerwca, zostanie wydane na dostosowanie go do wymogów I ligi.

Puchar na drugim miejscu

Faworytem spotkania będzie oczywiście Wisła. Niekwestionowany lider na zapleczu ekstraklasy nie traktuje pucharu priorytetowo, ale też go nie odpuszcza. Zwłaszcza w derbowym spotkaniu zawodnicy nie będą mogli sobie pozwolić na nieco luźniejsze podejście. Zmiany w składzie oczywiście będą, bo trener Mariusz Jop ma dość szeroką kadrę. W Bytomiu Odrzańskim o awansie przesądził rezerwowy wówczas Angel Rodado. W niedzielnym spotkaniu ze Stalą Rzeszów lekko podkręcił staw skokowy i Wisła na pewno nie będzie ryzykować pogłębienia się urazu. Hiszpan jest jednak znany z tego, że bardzo szybko się regeneruje. Nawet bez niego drużyna ma o wiele więcej atutów, by awansować.

Meczowy maraton

Na początku sezonu mocno odmłodzona drużyna była nawet liderem II ligi, ale teraz bliżej jej do dołu tabeli. W weekend podopieczni Krzysztofa Świątka bezbramkowo zremisowali z Zagłębiem Sosnowiec i przerwali serię czterech porażek. Z Wisłą czeka ich czwarty mecz w ciągu 12 dni. – Trudno nam rotować większą liczbą zawodników, bo mamy młodą kadrę, grający przez większość czasu już zebrali w rundzie bardzo dużo minut. Dla nas każdy maraton jest trudny – czasami zmagamy się z urazami, ktoś nie zdąży dojść do siebie. Taka jest jednak piłka i musimy sobie radzić z tą sytuacją, nie narzekać, a tak ustawić zespół, by jak najwięcej wycisnąć. Już przeciwko Zagłębiu chłopcy w wielu momentach odczuwali trudy maratonu, ale dołożyli charakter i serce – cieszy się trener Świątek. Podkreśla, że w środę zamierzają postawić rozpędzonemu liderowi I ligi trudne warunki. Na święto dla klubu, z którym jest związany od dziecka, musi tak nastawić drużynę, żeby grała nie tylko sercem, ale także piłkarsko była gotowa postawić się Wiśle. – Wierzymy, że jesteśmy w stanie sprawić małą sensację – podkreśla.

Michał Knura



Fot. Marta Badowska / Press Focus

Trener Hutnika, Krzysztof Świątek (z lewej) wierzy, że jego drużyna może wyeliminować Wisłę.

Nie pompujemy balonu

– Fajnie, że jesteśmy liderem, ale nie myślimy o tym, bo przed nami kolejny, pucharowy mecz z Arką – podkreśla kapitan Górnika Erik Janża.

GÓRNIK ZABRZE

Doświadczony reprezentant Słowenii był jednym z głównych bohaterów 13. kolejki ekstraklasy i ligowego hitu Górnik - Jagiellonia. To przecież po jego uderzeniu w samej końcówce Alejandro Pozo nieszczęśliwie skierował futbolówkę do siatki, co Górnikowi dało zwycięstwo 2:1 i powrót, po tygodniu, na pozycję lidera. Po meczu Erik Janża komentował to, co się wydarzyło i co czeka jego zespół w najbliższych, intensywnych dniach.

O wygranej z Jagiellonią

Bardzo dobry mecz za nami – i taktycznie, i technicznie, bo stworzyliśmy sobie wiele sytuacji. Jaga jest najtrudniejszym zespołem, jeżeli chodzi o grę piłką, jak ją miedzy sobą wymieniają, jak dochodzą do sytuacji, a w meczu z nami tych okazji nie miała za wiele. Brawo dla całej drużyny, brawo dla sztabu. Nie był to łatwy tydzień, bo próbowaliśmy wielu rozwiązań, jak przeciwko nim zagrać. Wybraliśmy, jak widać, idealną opcję. Przede wszystkim chodzi o defensywę, bo dobrze się ustawiliśmy. W obronie zagraliśmy tak, że na wiele im nie pozwoliliśmy.

O kluczu do zwycięstwa

Na pewno była nim dyscyplina taktyczna. Oni są groźni przez środek, bo wiadomo, jest Pululu. Groźni są też po bokach, w sytuacjach 1 na 1. Trzeba też powiedzieć, że bardzo dobrze w drugiej linii pracowali Lukas Ambros, Patrik Hellebrand i Jarek Kubicki. Wiele roboty zrobili, a do tego Sondre Liseth z przodu wiele biegał. Naprawdę super i trzeba powiedzieć, że jako drużyna zagraliśmy bardzo dobry mecz.

O bramce na 2:1

Jak opisać moje uderzenie, po którym padł zwycięski gol? Trzy punkty (śmiech)! Byłem w tym miejscu, w którym trzeba było być. Była końcówka meczu, było ciężko, bo zmęczenie, kwas w nogach, ale czułem, że ta piłka tam spadnie. Trafiłem w nią, jak trafiłem, ale najważniejsze, że wszystko skończyło się golem. Był remis, ale czułem, że zdobędziemy tego zwycięskiego gola. Już przed meczem, a potem także na boisku czułem również, że oni byli trochę aroganccy w swojej postawie. Nam udało się to wykorzystać.

O komplecie na trybunach

Ta energia z trybun pomaga to oczywista sprawa. Był taki plan, żeby od początku ruszyć wysokim pressingiem. Zrobić gdzieś jakiś wślizg, żeby na trybunach się paliło. Może nie udało się w stu procentach zrealizować tego naszego planu, bo oni wychodzili spod tego naszego agresywnego pressingu, ale byliśmy wysoko na ich połowie i dobrze to wyglądało.



Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

Przed meczem z Jagą Erik Janża, który ma już za sobą 200 meczów w Górniku, otrzymał od Stanisława Oślizły pamiątkową koszulkę.

O kontakcie z rodakiem

Po meczu nie rozmawiałem z Dusanem Stojinoviciem, bo był wkurzony. Wymienialiśmy jednak wiadomości przed spotkaniem, jak tam u nas w słoweńskiej kadrze, jak im poszło w pucharze. Klasyka.

O pucharowej grze z Arką

Jesteśmy na pozycji lidera, jest fajnie, ale w naszej postawie nic się nie zmienia. Mamy, co mamy, dalej pracujemy normalnie, bez jakiegoś pompowania balonu. W czwartek gramy z Arką w Pucharze Polski. Teraz przed nami nowy mecz, już normalnie pracujemy, żeby być jak najlepiej przygotowanym do konfrontacji z tym przeciwnikiem, z którym zagramy przecież dwa razy w ciągu kilku dni, bo potem zaraz w niedzielę gramy z nimi w lidze. Nie jest łatwo zagrać dwa razy z tym samym przeciwnikiem w ciągu tak krótkiego okresu, ale zobaczymy. Na teraz najważniejszy jest mecz w Pucharze Polski.

Opr. Michał Zichlarz

Jaga, Lamparty i Puchar Narodów

Rozmowa z **Afimico Pululu**, napastnikiem Jagiellonii Białystok

Jak oceni pan wasz niedzielny mecz z Górnikiem w Zabrzu i porażkę 1:2? Ogromne rozczarowanie?

– Dokładnie tak, ale tak czasami w piłce bywa. Mieliśmy swoje sytuacje, żeby wygrać, nie udało się, przeciwnik wykorzystał okazje i się cieszy. Nie jesteśmy zadowoleni z wyniku, do tego trzeba powiedzieć, że sędzia nam w tym meczu nie pomógł swoimi decyzjami, ale co zrobić w tej sytuacji. Przed nami kolejne mecze w lidze i pucharach, na tym się trzeba skupić.

Wasz rekord 18 meczów bez porażki został przerwany. Ta seria od połowy lipca, co trzeba przyznać, była niesamowita!

– Tak, to była wspólna praca całego zespołu. Przykro, że teraz to już za nami, ale – jak podkreślam – to część futbolu, takie rzeczy się zdarzają. Nie możesz cały czas wygrywać. Teraz skupiamy się na kolejnej grze i być może przed nami kolejna dobra seria spotkań bez przegranej.

Chciałem zapytać, korzystając z pana wizyty w Zabrzu, o pana grę w reprezentacji. Jeszcze rok temu mówiło się, że będzie pan grał dla Angoli. Ostatecznie zdecydował się pan na DR Konga, skąd pochodzą pana rodzice. Kiedy można się spodziewać debiutu?

– Przede wszystkim to była dla mnie trudna decyzja. Angola to miejsce, gdzie się urodziłem. Tam żyli moi rodzice. Ja sam urodziłem się w Luandzie (stolica Angoli – przyp. red.). Ostatecznie wybrałem to, co podyktowało mi serce. Wychowywałem się wśród rówieśników z Demokratycznej Republiki Konga, czułem, że tak należy postąpić i stąd taka decyzja. Mam nadzieję, że w końcu po powołaniu pojadę na zgrupowanie i zagram w reprezentacji narodowej. To dla mnie, jako dla zawodowego piłkarza, byłby kolejny krok w karierze, w rozwoju.

Następny mecz DR Konga rozegra 13 listopada. Będzie to mecz w Maroku z Kamerunem w półfinale turnieju barażowego do MŚ o miejsce w decydującej grze o awans do barażu interkontynentalnego w marcu w Meksyku (w drugiej parze Nigeria zmierzy się z Gabonem; tylko zwycięzca turnieju zagra w marcu w Meksyku – przyp. red.). Zobaczymy tam pana?



Fot. Gleb Sobolev / Press Focus

Afimico Pululu czeka na debiut w reprezentacji DR Konga.

– Czy pojadę do Maroka na ten turniej? Tutaj wszystko zależy od selekcjonera i tego, czy będę wśród powołanych. Jeśli będę, to pojadę. Jeśli nie, to będę dalej ciężko pracował, żeby na takie powołanie zasłużyć, przecież przed nami Puchar Narodów Afryki.

Selekcjonerem Lampartów z DR Konga jest doświadczony francuski szkoleniowiec Sebastien Desabre. Ma pan z nim kontakt?

– Mam. Rozmawialiśmy ze sobą kilka razy, pytał, jak się czuję, czy wszystko u mnie w porządku i jak mi idzie.

Jak pan widzi wasze szanse w listopadowym turnieju? Dacie radę wywalczyć miejsce w interkontynentalnym barażu, gdzie zagra sześć drużyn, z których dwie awansują do mistrzostw świata?

– Z Kamerunem to będzie taki pojedynek „fifty-fifty", czyli pół na pół. Mamy swoje szanse, to samo rywal, który przecież ma swoje miejsce w historii afrykańskiego futbolu. Mają więcej tytułów mistrza Afryki niż my. Wszystko jednak zdecyduje się w jednym spotkaniu, w którym wszystko jest możliwe. My mamy swoją jakość i atuty, ale oni również. Zapowiada się bardzo ciekawy mecz.

Już 21 grudnia początek Pucharu Narodów na stadionach Maroka. W grupie DR Konga jest z silnym Senegalem, Botswaną i Beninem. Jak tutaj widzi pan szanse Lampartów?

– Na pewno nie będzie to łatwy turniej, ale powalczymy. Z Senegalem rywalizowaliśmy w eliminacjach mistrzostw świata. Zremisowaliśmy na wyjeździe, ale u siebie przegraliśmy i to oni cieszyli się z bezpośredniego awansu. Wiadomo, to wymagający i trudny przeciwnik. My jednak rośniemy w siłę, coraz bardziej się z nami liczą, więc mamy swoje szanse. Na pewno będzie tam ciekawa rywalizacja.

Zanosi się na to, że nie będzie pan miał świąt Bożego Narodzenia i przerwy, bo turniej w Maroku potrwa od 21 grudnia do 18 stycznia.

– Nie wiem, mam nadzieję, że tak będzie i że nie będę miał przerwy (śmiech). Chciałbym tam być, chciałbym tam pojechać i zagrać. Zrobię wszystko, żeby tak było, żeby być ze swoją drużyną. Muszę ciężko pracować, pokazywać się z dobrej strony, żeby zasłużyć na powołanie od sztabu trenerskiego.

W Pucharze Narodów gracie grupowe mecze w Rabacie, gdzie się wybieram na Puchar Narodów, więc może się tam spotkamy!

– Oby tak było! Na razie muszę zasłużyć na powołanie.

Rozmawiał Michał Zichlarz

POWOŁANIA PULULU

■ W marcu tego roku, przed swoimi 26. urodzinami, urodzony w stolicy Angoli Luandzie Afimico Pululu otrzymał powołanie od ówczesnego selekcjonera reprezentacji tego kraju, Portugalczyka Pedro Goncalvesa na mecze w eliminacjach MŚ. Z powodu kontuzji nie poleciał jednak na spotkania z Libią i Republiką Zielonego Przylądka. W maju zdecydował, że będzie reprezentował nie Angolę, a DR Konga, skąd pochodzi jego rodzina. Za tą decyzją stały też rozmowy z takimi piłkarzami jak gwiazdor Lampartów Cedric Bakambu z Betisu oraz Steve Kapuadi z Legii. Napastnik Jagi był już dwa razy powołany na zgrupowania DR Konga, ale z powodu urazów jeszcze nie poleciał. Czeka na debiut.

(zich)

Sport 6eff6eae49

Nie można nagradzać za cwaniactwo



Rozmowa z **Marcinem Szulcem,** przewodniczącym Kolegium Sędziów PZPN

Kiedy VAR wchodził do polskiej piłki, często powtarzałem argument, że niezależnie od tej technologii, ostateczna decyzja i tak zależna będzie od interpretacji człowieka. I może być błędna. Mecz w Zabrzu był tego jaskrawym przykładem.

- No tak, bo to ludzie używają VAR-u. Więc nie będzie on idealnym antidotum na wszystkie pomyłki, skoro pojawia się i w nim czynnik ludzki. Natomiast VAR ma dotyczyć tylko i wyłącznie oczywistych, klarownych pomyłek sędziów, a nie sytuacji kontrowersyjnych, dyskusyjnych, w których może istnieć kilka – a co najmniej dwie – rozbieżnych opinii. Za taką oczywistą pomyłkę uznaję tę z meczu Górnik – Jagiellonia. VAR jest po to, żeby taką sytuację naprawiać. Niestety, w tym przypadku nie dał rady tego zrobić.

Jak pan odebrał ubiegłotygodniową wypowiedź pana sędziego Szymona Marciniaka? Sugerował w niej, że są karne, które nie powinny być podyktowane. Ale są, bo taki jest nacisk opinii publicznej, ekspertów, komentatorów.

- Mogę w odpowiedzi na to pytanie odwołać się do mojej – zakończonej już czternaście lat temu – przygody sędziowskiej. Między ówczesną „nieostrożnością", o której mówią „Przepisy Gry", a wskutek której sędzia przyznaje faul, a dzisiejszą „nieostrożnością" nie można postawić znaku równości. Dziś oko kamery jest zdecydowanie lepsze, wyłapujące sytuacje trudne do zauważenia dla ludzkiego oka. I w tym kontekście rozumiem tę wypowiedź Szymona, który wskazał na czasami bardzo „miękkie" upadki zawodników. VAR spowodował, że kontakty między zawodnikami na murawie – te, w których może interweniować, a więc w polu karnym - są bardziej widoczne.

Natomiast w tym momencie mamy do czynienia z sytuacją, w której identyczny kontakt między zawodnikami poza polem karnym i w jego obrębie potraktowany będzie zupełnie inaczej! Poza „szesnastką" nie zostanie odgwizdany rzut wolny, w „szesnastce" - po interwencji VAR-u – arbiter podyktuje karnego!

- Nie ma dwóch identycznych kontaktów czy sytuacji między zawodnikami. Sam rzut karny nie może być nagrodą za cwaniactwo, tylko karą dla drużyny przeciwnej za realnie popełnione przewinienie. I ma być ten faul jasny i klarowny. Natomiast musimy zachowywać spójność artykułu 12 „Przepisów Gry" „Gra niedozwolona i niewłaściwe zachowanie" - przyp. red. w naszej pracy na boisku. Są sytuacje, kiedy jeden faul jest bardziej „miękki" od innego, ale cały czas mieszczą się one w kategoriach przewinienia, które musi być przerwane gwizdkiem sędziego.



Fot. Tomasz Folta / Press Focus

Praca arbitrów – w tym przypadku Bartosza Frankowskiego – budzi wiele emocji wśród piłkarzy.

Rozumiem. Ale czy w przypadku takich „miękkich" fauli w polu karnym zawsze niezbędna jest interwencja VAR-u?

- Przede wszystkim pamiętajmy, że VAR musi sprawdzić każde zdarzenie w polu karnym, które ma znamiona jakiegokolwiek złamania „Przepisów Gry" m.in. faule. Najważniejsze natomiast, żebyśmy pilnowali właściwego poziomu interwencji VAR. To jest w tej chwili jeden z naszych głównych celów. Będziemy o tym rozmawiać na zbliżających się szkoleniach sędziowskich. Ale także – chcemy o tym rozmawiać i z trenerami, i z zawodnikami. Niektóre zmiany powinny pochodzić właśnie stamtąd. Niech takim najprostszym przykładem będą symulacje.

Za chwilę dojdziemy do sytuacji, w której w każdej drużynie będzie jeden czy dwóch specjalistów od tego, żeby ładnie nogę włożyć przed nogę obrońcy i sprowokować VAR do interwencji!

- Miewaliśmy już sytuacje, że zawodnicy celowo dłużej leżeli na murawie i - na przykład - trzymali się za głowę, bo być może coś sędzia VAR znajdzie. Tego nie chcemy! Chcemy walki, ale i zachowań fair ze strony zawodników wobec swoich rywali. Druga rzecz: chodzi o to, by sędziowie – czy to na boisku, czy na VAR-ze - właściwie rozumieli daną sytuację. To, czy kontakt, który nastąpił między zawodnikami, ma realny wpływ na możliwość poruszania się „poszkodowanego". Powtórzę: najważniejsze jest to, żebyśmy przestrzegali poziomu interwencji i stosowali go jednakowo we wszystkich meczach.

Jak pan przyjął publiczne przeprosiny, jakie wystosował pan Frankowski, między innymi przed kamerą?

- Przede wszystkim chciałbym, aby sędziowie rozmawiali ze mną i mnie tłumaczyli swoje decyzje. Chciałbym też, żeby przeprosiny wobec klubów były ograniczone, albo żeby w ogóle nie miały miejsca. Jeśli sędzia popełni błąd, rozumiem, że źle się z tym czuje. Zgodnie z przepisami może publicznie wyjaśnić przyczyny podjęcia konkretnej decyzji. A przeprosiny? Nas, co do zasady, nikt nie przeprasza za niewłaściwe zachowania – mam na myśli drugą stronę, czyli zawodników lub trenerów, którzy np. nieodpowiednio zachowują się w strefach technicznych i przy ławkach rezerwowych.

Rozmawiał
Dariusz Leśnikowski

Zegar tyka...

Tyszanie coraz bardziej przybliżają się do strefy spadkowej.

GKS TYCHY

Co prawda w nocy z soboty na niedzielę przestawiliśmy zegary, cofając czas o godzinę, ale w sytuacji tyskiego zespołu nic to nie zmieniło. Artur Skowronek, który na początku października otrzymał od kierownictwa GKS-u Tychy zapewnienie, że do 9 listopada może wdrażać swoje pomysły na wyciągnięcie drużyny z dołka, nie wykorzystał połowy terminu.

Szokujące słowa trenera

Popatrzmy na liczby. Od 25 sierpnia Trójkolorowi rozegrali dziewięć spotkań – osiem w lidze i jedno w Pucharze Polski. Zanotowali osiem porażek, zdobyli ledwie jeden punkt, a ich bilans bramkowy 7:21 świadczy o słabości zarówno ofensywy, jak i defensywy. Nic więc dziwnego, że po niedzielnej porażce na swoim boisku z Chrobrym Głogów GKS zjechał po równi pochyłej na 14. miejsce w tabeli, a od „czerwonej latarni" dzielą go zaledwie dwa punkty.

– Budowaliśmy przed tym meczem coś bardzo dobrego, myśląc o tym, jak pracowaliśmy w przerwie na kadrę – twierdził trener tyszan. – Potwierdziliśmy to w sparingu z GieKSą i jak to też wyglądało w meczu z Wieczystą. Ale zburzyliśmy to z perspektywy takiej, że w meczu z Chrobrym po prostu nie byliśmy sobą.

Słowa te są o tyle zaskakujące, żeby nie powiedzieć szokujące. Dlaczego? Po pierwsze, sparingu z katowiczanami nikt nie widział i nawet wyniku, nie mówiąc o składzie oraz strzelcach goli, oficjalnie nie poznaliśmy. Po drugie, w spotkaniu z Wieczystą tyszanie mieli 35 procent posiadania piłki i cudem wyciągnęli remis 3:3, strzelając wyrównującego gola w ostatnich sekundach z karnego wypatrzonego przez VAR.

Mocno naciągane

Powoływanie się więc na spotkanie z krakowianami jako dowód, że nastąpiła poprawa, jest mocno naciągane. To raczej niemoc pokazana w starciu z głogowianami była kontynuacją słabości prezentowanej przez podopiecznych Artura Skowronka od dwóch miesięcy. Obrazują ją też statystyki z ostatniej potyczki – w strzałach 6:21, a w strzałach celnych… 0:6! Popatrzyłem też z ciekawością na liczby fauli popełnionych przez tyszan w dwóch ostatnich meczach: 8 z Wieczystą i 10 z Chrobrym. Oczywiście, nie namawiam do tego, żeby piłkarze GKS-u Tychy kopali przeciwników, a nie piłkę, ale nie muszę chyba nikomu interesującemu się futbolem zaznaczać, że jeżeli drużyna walczy z pełnym zaangażowaniem i jest zdeterminowana, bo chce się przełamać, to „wióry" muszą lecieć.

Skutecznie odpowiedzieć

– Dużo strat, żółte kartki, byliśmy nerwowi i na pewno napędzaliśmy w ten sposób przeciwnika – wyliczył szkoleniowiec GKS-u Tychy. – Ale ten przeciwnik dołożył coś więcej, żeby wygrać. W przerwie piłkarze usłyszeli kilka rzeczy, które musieli usłyszeć. Taktycznie chcieliśmy napędzić naszą grę, zdynamizować, szukać przewagi z boku, uzupełniać pole karne, szybciej skracać pole gry, szybciej wypychać i te rzeczy, gdzieś tam na dzień dobry drugiej połowy wyszły lepiej. Natomiast z perspektywy całej drugiej połowy nie wykreowaliśmy stuprocentowych sytuacji, które mogły nam dać dobrego kopa mentalnego, żeby wrócić do meczu. Dlatego zwycięstwo Chrobrego jest zasłużone, a my musimy się szybko zbierać, bo przed nami w piątek bardzo ważny mecz z Ruchem Chorzów. I dla kibiców, i dla nas samych, i dla tabeli, więc trzeba zrobić wszystko, żeby bardzo skutecznie odpowiedzieć.

Cytat z dramatu

Słowa, słowa, słowa… Ten cytat z dramatu „Hamlet" Williama Szekspira stał się synonimem pustej gadaniny. Kibice GKS-u Tychy czekają więc na konkrety albo od drużyny prowadzonej przez Artura Skowronka, albo przez kierownictwo klubu, bo tyszanie już nie tylko oddalają się od zapowiadanej przed sezonem rywalizacji o miejsce w strefie barażowej, ale przybliżają się coraz mocniej do walki o utrzymanie w I lidze. Oczywiście jest taka możliwość, że tak jak rok temu na półmetku nastąpi odwrócenie karty, ale na razie symptomów zwiastujących poprawę nie widać…

Jerzy Dusik

Sport 6eff6eae49

12 kilometrów na mecz

Rozmowa z **Jakubem Kamińskim**, zawodnikiem 1. FC Koeln i reprezentacji Polski

Wielki tydzień przeżywa pan w końcówce października. W sobotę mecz z Borussią w Dortmundzie, a w środę starcie w Pucharze Niemiec z Bayernem. Nastrój po 0:1 na Signal Iduna Park nie jest zapewne najlepszy, zwłaszcza jak się traci gola w 96 minucie?

– Z wyniku trudno się cieszyć, to prawda, ale myślę, że pokazaliśmy w Dortmundzie coś fajnego, jeżeli chodzi o zespół. Coś, o co chodzi w piłce, czyli trzymanie się razem. Jak wiadomo, Timo Huber doznał poważnej kontuzji kolana i musiał zejść przed końcem meczu. I tak naprawdę, biorąc pod uwagę czas doliczony przez sędziego, przez 17 minut graliśmy w dziesiątkę, bo wcześniej wykorzystaliśmy wszystkie zmiany. A wiadomo, że grać na Borussii w osłabieniu, przy 80 tysiącach widzów, to ciężkie zadanie, ale mocno walczyliśmy o ten remis. Nie udało się, na minutę przed końcem straciliśmy gola, ale naprawdę możemy być dumni z tego, jak drużyna zaprezentowała się pod względem mentalności, poczucia bycia razem.



Fot. IMAGO / Press Focus

W lidze dortmundczycy zdołali powstrzymać Jakuba Kamińskiego, ale może w Pucharze Niemiec uda mu się „skaleczyć" Bayern?

To nie był pana pierwszy mecz na Signal Iduna Park przy pełnych trybunach, ale ciarki pewnie i tak były?

– Zdążyłem już okrzepnąć w atmosferze tego stadionu, ale oczywiste jest, że na takie mecze się czeka, że dla takich meczów, w takiej atmosferze, gra się w piłkę! Zresztą wśród tych 80 tysięcy widzów chyba 8 tysięcy przyjechało z Kolonii. Nie był to może w pełni „mecz przyjaźni", ale nie ma złej krwi między kibicami obu drużyn, więc naprawdę fajnie było to zobaczyć; być uczestnikiem takiego spotkania.

Mimo porażki wasi fani pożegnali was oklaskami?

– Tak. Widzieli chęć walki z naszej strony, chęć pokazania się i wiarę w to, że możemy sprawić niespodziankę. Nie wyszło w Dortmundzie, więc usłyszeliśmy, że teraz czekają na Bayern. Na to, że też podejmiemy rękawicę.

Będziecie w stanie to zrobić?

– Okoliczności sobotniej porażki jeszcze bardziej nas motywują, żeby powalczyć z Bayernem. Nie mam wątpliwości, że ta drużyna dąży do tego, żeby w tym sezonie nie przegrać meczu, a pewnie i do tego, by zgarnąć trzy tytuły i trofea, ale czemu by go nie zaskoczyć i nie wygrać w środę? Puchar rządzi się zawsze swoimi warunkami, a wizyta Bayernu to w każdym mieście wisienka na torcie. Na tego rywala każdy się spręża na maksa. Każdy chce pokazać ząb, charakter i zaskoczyć monachijczyków. My też liczymy, że z odrobiną szczęścia może nam wyjść fajna niespodzianka.

PUCHAR NIEMIEC – 2. RUNDA

■ **FC Koeln – Bayern Monachium**
Środa, 20.45 – Eleven Sports 1

CZY WIESZ, ŻE...

■ Jakub Kamiński swoją pierwszą bramkę w Bundeslidze strzelił Bayernowi Monachium! Było to w lutym 2023, ale Wilki – mimo trafienia Polaka – przegrały 2:4. „Kamyk" jeszcze dwukrotnie grał z Bawarczykami i te mecze VfL Wolfsburg także przegrał.

Premię za zdobycie Pucharu Niemiec – tak na wszelki wypadek – wynegocjowaliście?

– Takie rzeczy ustalają przed sezonem kapitan i rada drużyny. Związek płaci za awans do każdej kolejnej rundy, a część takiej premii zwykle trafia do drużyny, ale dla nas najważniejsze jest to, by się dobrze na tle takiego rywala pokazać, by z nim powalczyć.

Wiele portali, opisując wasze ustawienie na mecz z Borussią, lokowało pana na... szpicy ataku. Trener Kwasniok rotuje pańskimi pozycjami, ale „dziewiątka"?!

– Moja rola rzeczywiście bywa różna. Czasami to jest środek boiska – „ósemka", „dziesiątka"; zdarzyła się i „dziewiątka" w tym sezonie, to fakt. Czasami jestem i wahadłowym, jeżeli akurat tam trzeba zagrać. Nie narzekam na to, dzięki tej wszechstronności mam tak mi potrzebne minuty w nogach. Dobrze wyglądam, biegam po 12 kilometrów w meczu. Z Borussią wyszło chyba nawet 12,5 kilometra, więc pod tym względem jestem w czołówce Bundesligi. To jest mój fundament, moja baza, z której mogę iść dalej. Pewnie, że może i chciałbym więcej meczów grać na „dziesiątce", bo mnie wtedy częściej widać pod bramką przeciwnika, ale jestem bardzo zadowolony i szczęśliwy ze swego miejsca w FC Koeln.

Nie można nie zapytać o Saida El Mala. Ma 19 lat, a gra i strzela jak stary wyga. Coś z niego będzie?

– Mocno trzymam za Saida kciuki, bo kiedy tylko go zobaczyłem w Kolonii, doceniłem jego niesamowite umiejętności, przebojowość, umiejętność wygrywania pojedynków. To tylko kwestia czasu – to przecież jego pierwszy sezon w Bundeslidze, pierwsze mecze – kiedy będzie o nim naprawdę głośno. Ma już trzy bramki, asystę, a jego cena w krótkim czasie wzrosła zdecydowanie (wg Transfermarkt z 3 do 18 mln euro w cztery miesiące – przyp. red.). Jeśli dopisze mu zdrowie, wyrośnie z niego zawodnik na naprawdę wielkie granie, w klubie i w reprezentacji Niemiec.

Rozmawiał
Dariusz Leśnikowski

Grunt to skuteczność

Czy Madagaskar ma coś wspólnego z polską piłką? Ależ oczywiście!

Polska liga jest coraz bardziej kolorowa. Co ważne – jest tymi kolorami silna. Dołączają do niej reprezentanci różnych krajów, w tym sezonie– po raz pierwszy Madagaskaru. – Wydaje mi się, że jest pan piłkarzem szybkim i zarazem spokojnym. To dobra charakterystyka? – zagadnąłem z Andy'ego Pelmarda, stopera Jagiellonii Białystok.

Wytrwałość popłaca

– Wydaje mi się, że przede wszystkim jestem skuteczny w interwencjach – odpowiedział 25-letni reprezentant Madagaskaru. Coś w tym jest… Kiedy Jagiellonia sensacyjnie dała się rozbić w Białymstoku ekipie Bruk-Betu Termaliki Nieciecza w 1. kolejce, Pelmard nie był jeszcze jej zawodnikiem. Dołączył do drużyny później. Nie został zgłoszony do europejskich rozgrywek, a szkoda, bo z pewnością, by się przydał. W lidze jednak od debiutu gra od pierwszej do ostatniej minuty. Wyjątkiem ostatnie spotkanie w Zabrzu, kiedy opuścił boisko w 89 minucie. Powód? Jagiellonia musiała atakować, więc zrobił miejsce napastnikowi Youssufowi Sylli. Jak dotąd był to jedyny przegrany mecz Jagi z jego udziałem. Z pozostałych pięciu Jagiellonia trzy wygrała i dwa zremisowała. Pelmard został do niej wypożyczony z Clermont Foot na rok.

Talent tego piłkarza to miks światów. Jego matka pochodzi z Madagaskaru, a ojciec z Gwadelupy. Obie te wyspy, znacząco od siebie oddalone, a łączy to, że mają wiele wspólnego z Francją. Gwadelupa to jej zamorski departament, a niepodległy dziś Madagaskar to do 1960 roku francuska kolonia. Oba terytoria dzieli ponad 12,5 tysiąca km. Andy urodził się już we Francji, w Nicei, nad Morzem Śródziemnym, więc nic dziwnego, że właśnie w klubach z tego miasta zaczynał grę i start do międzynarodowej kariery. W 2017 roku dwukrotnie został powołany do reprezentacji Francji do lat 17, a w 2019 roku do reprezentacji Francji do lat 21. Czekanie na powołanie do pierwszej reprezentacji okazało się już jednak bezowocne.

A skoro jednocześnie wytrwale zabiegała o niego Madagaskarska Federacja Piłki Nożnej (FMF) i ówczesny selekcjoner Romuald Rôrô Rakotondrabe, Pelmard zgodził się ostatecznie zagrać w tamtejszej reprezentacji, co w sierpniu ogłosił obecny selekcjoner, reprezentant Francji w latach 90., Corentin Martins, który lubi afrykańską piłkę (wcześniej był selekcjonerem Mauretanii i Libii). Piłkarz został powołany na mecze eliminacyjne mistrzostw świata w 2026 roku przeciwko Republice Środkowoafrykańskiej i Czadowi. Już w obecnym miesiącu zagrał z Mali. – Madagaskar zabiegał o mnie od dawna, więc się zdecydowałem – przyznał piłkarz.

ANDY JOSEPH PELMARD

■ Data i miejsce urodzenia: 13 marca 2000 r., Nicea.
■ Kluby: ASBTP Nice, Entente Sainte-Sylvestre Nice-Nord, OGC Nice-Cote d'Azur (Francja, 33 mecze ligowe do 2021), FC Basel 1893 (Szwajcaria, 67 meczów ligowych, 2021-23), Clermont Foot (Francja, 34 mecze ligowe, 2023-24), US Lecce (Włochy, 3 mecze ligowe, 2024), UD Las Palmas (Hiszpania, 4 mecze ligowe, 2025), Clermont Foot (3 mecze ligowe, 2025), Jagiellonia (6 meczów ligowych, 2025).
■ Reprezentacja: 3 mecze dla Madagaskaru od 2025 roku, wszystkie w eliminacjach mistrzostw świata (debiut we wrześniu przeciw Republice Środkowoafrykańskiej, potem spotykania z Czadem i Mali). Madagaskar zajął drugie miejsce w sześciozespołowej grupie i odpadł z rozgrywek.



Andy Palmard vs. Lukas Podolski w ostatnim ligowym meczu.

To poważne rozgrywki

Ważne, że podczas pobytu w Polsce piłkarz nie narzeka na kontuzję, gra sporo, a nie zawsze tak było. Kiedy w zeszłym roku Clermont Foot wypożyczył go do Las Palmas, pobyt nie był udany właśnie z powodu urazów.

Po meczu w Zabrzu piłkarz nie był w idealnym nastroju. – Nie mogę być zadowolony, przecież przegraliśmy. Pod względem sportowym wykonaliśmy swoją pracę, ale arbiter popełniał błędy – ocenił. – Moim zdaniem sędzia nie był dobry w tym meczu – odparłem. – Właśnie. Takie decyzje arbitra zmieniają mecz – stwierdził Pelmard, który przyznał, że liga polska jest wymagająca. – Mam porównanie. To poważne rozgrywki, są mocne kluby i piłkarze, którzy potrafią grać. Odbieram ją pozytywnie – zaznaczył.

Paweł Czado

Sport 6eff6eae49

PUCHAR NIEMIEC

■ **Heidenheim – HSV 0:1 (0:0)**
0:1 – Glatzel (83)

■ **Eintracht Frankfurt – Borussia Dortmund 1:1 (1:0, 1:1). 2:4 w karnych**
1:0 – Knauff (7), 1:1 – Brandt (48)

■ **Hertha Berlin – Elversberg 3:0 (1:0)**
1:0 – Cuisance (15), 2:0 – Gronning (58), 3:0 – Dorsteinsson (90+4)

■ **Wolfsburg – Holstein Kiel 0:1 (0:1)**
0:1 – Bernhardsson (42)

Pozostałe mecze zakończone po zamknięciu wydania.

Środa: Mainz – Stuttgart, Illertissen – Magdeburg, Paderborn – Leverkusen, Greuther – Kaiserslautern (wszystkie 18.00), Kolonia – Bayern, Union – Arminia, Darmstadt – Schalke, Fortuna – Freiburg (wszystkie 20.45)

HISZPANIA

TEN PIERWSZY RAZ

■ Atletico wygrało pierwszy mecz na wyjeździe w tym sezonie. Łupy przywiozło z Sewilli, gdzie pokonało Betis. Oba gole strzeliło w intensywnej pierwszej połowie, by po przerwie tylko się bronić. Ale trzy punkty to trzy punkty, miejsce w top4 utrzymane. – Udało się dzięki zespołowemu wysiłkowi tych, którzy zaczęli mecz, oraz tych, którzy weszli i pomogli w końcówce – cieszył się trener Diego Simeone.

(PTub)

■ **Real Betis – Atletico 0:2 (0:2)**
0:1 – Simeone (3), 0:2 – Baena (45+1)

SZKOCJA

GLASGOW NA KOLANACH

■ Ostatnio pracę w Rangersach stracił Russell Martin, który zupełnie sobie nie radził. Po ponad dwóch tygodniach zastąpił go 36-letni Niemiec Danny Roehl, do końca lipca pracujący w Sheffield Wednesday. To skutek fatalnego początku The Gers, którzy zajmują dopiero 5. miejsce w lidze i przegrali wszystkie mecze w Lidze Europy. Teraz do zmiany doszło też u drugiego giganta z Glasgow, Celtiku, gdzie z posady trenera zrezygnował słynny Brendan Rodgers. Główny powód? Dwie ligowe porażki z rzędu, przede wszystkim ta ostatnia z liderującym Heart of Midlothian 1:3, które po 9. kolejkach ma aż osiem punktów przewagi nad obrońcami tytułu i 13 nad Rangersami! Oprócz tego Celtic przegrał dwumecz o Ligę Mistrzów z Kajratem Ałmaty. Poszukiwania nowego trenera trwają.Czyżby na naszych oczach pisała się historia końca duopolu z Glasgow?

(PTub)

Przelana czara goryczy

W Turynie doszło do trzęsienia ziemi. Seria ośmiu meczów bez zwycięstwa zadecydowała o zwolnieniu Igora Tudora.

WŁOCHY

To ciężkie chwile. Musimy jeszcze mocniej się zjednoczyć i mocniej pracować jako cała grupa. Dobrze przygotowaliśmy się do tego meczu, ale wciąż czegoś brakuje. Nie ma miejsca na dramatyzowanie, to my sami jesteśmy odpowiedzialni za to, co się dzieje – mówił po ostatnim spotkaniu z Lazio trener Igor Tudor. Władze Starej Damy zdecydowały jednak, że zamiast zjednoczenia będzie... rozdzielenie i zwolniły chorwackiego szkoleniowca.



Pomysły Igora Tudora nie przemawiały do zawodników Starej Damy.

Fot. AllShotLive/SIPA USA / Press Focus

Bezsensownie wydane miliony

Czarę goryczy przelała porażka 0:1 z drużyną z Rzymu, ale napięta sytuacja była od tygodni. Początek sezonu nie wskazywał jednak, że może dojść do katastrofy. Juventus zaczął od trzech zwycięstw z rzędu w Serie A, w tym 4:3 z Interem Mediolan, a następnie zremisował 4:4 po szalonym meczu z Borussią Dortmund w Lidze Mistrzów. Jednak zespół, zamiast się rozwijać, zaczął się... zwijać. Od wygranego spotkania z zespołem Nerazzurrich Juve zaliczyło osiem spotkań bez zwycięstwa, doznając przy tym trzech porażek w ciągu tygodnia – 0:2 z Como, 0:1 z Realem Madryt oraz wspomniane 0:1 z Lazio. Zwolnienie Tudora to kolejne koszty dla klubu. Włoscy dziennikarze informują, że ważny kontrakt ma jeszcze Thiago Motta, a dodając do tego umowę Chorwata, kwota, jaką Juve powinien jeszcze przelać obu trenerom to około... 25 milionów euro! Nie da się bardziej bezsensownie wydawać pieniędzy, a przecież zaraz jeszcze dojdzie pensja nowo zatrudnionego szkoleniowca.

Były selekcjoner faworytem

Władze klubu z Turynu już rozglądają się za następcą. W środowym spotkaniu przeciwko Udinese zespół poprowadzi dotychczasowy szkoleniowiec Juventus Next Gen, Massimo Brambilla. Według medialnych doniesień faworytem do przejęcia drużyny ma być były selekcjoner reprezentacji Włoch, Luciano Spaletti. Matteo Moretto informował, że Juve zgłosiło się także do Xaviego, byłego szkoleniowca Barcelony, ale on odrzucił ofertę. Zatem na szczycie listy dyrektora generalnego Damiena Comollego jest właśnie 66-letni Włoch. Spaletti prowadził na Półwyspie Apenińskim największe kluby z Romą, Interem i Napoli na czele. Z pierwszym zespołem dwa razy zdobył Puchar Włoch, z kolei z drużyną spod Wezuwiusza zwyciężył w Serie A.

Buksa chce iść za ciosem

W Turynie panuje chaos, który spróbuje wykorzystać zespół Polaków. Bianconeri zmierzą się z Udinese, w którym występują Adam Buksa oraz Jakub Piotrowski. Zwłaszcza 29-letni napastnik będzie chciał wykorzystać szansę, tym bardziej że strzelił swojego pierwszego gola na włoskich boiskach, a gra obronna Juventusu nie jest najmocniejszą stroną tego zespołu. Być może dzięki ostatniej bramce Buksa wyjdzie w podstawowym składzie na starcie z kolosem na chwiejnych nogach. Zespół Kosty Runjaicia ma na swoim koncie trzy spotkania bez porażki, ale wygrał tylko to ostatnie z Lecce 3:2.

Miłosz Cebo

PROGRAM 9. KOLEJKI
Środa: Roma – Parma, Como – Werona, Juventus – Udinese (wszystkie 18.30), Bolonia – Torino, Genoa – Cremonese, Inter – Fiorentina (wszystkie 20.45); **czwartek**: Cagliari – Sassuolo (18.30), Pisa – Lazio (20.45). Wtorkowe spotkania Lecce – Napoli oraz Atalanta – Milan zakończyły się po zamknięciu numeru.

1. Napoli	8	18	15:8
2. Roma	8	18	8:3
3. Milan	8	17	13:6
4. Inter	8	15	19:11
5. Bolonia	8	14	13:7
6. Como	8	13	9:5
7. Atalanta	8	12	12:6
8. Juventus	8	12	9:8
9. Udinese	8	12	10:12
10. Lazio	8	11	11:7
11. Cremonese	8	11	9:10
12. Torino	8	11	8:14
13. Sassuolo	8	10	8:9
14. Cagliari	8	9	8:10
15. Parma	8	7	3:7
16. Lecce	8	6	7:13
17. Werona	8	5	4:11
18. Fiorentina	8	4	7:12
19. Pisa	8	4	5:12
20. Genoa	8	3	4:11

1-4 – LM, 5 – LE, 6 – el. do LKE, 18-20 – spadek
STRZELCY
5 – Orsolini (Bolonia), 4 – Paz (Como), Pulisic (Milan), De Bruyne (Napoli)

FRANCJA

PROGRAM 10. KOLEJKI
Środa: La Havre – Brest, Lorient – PSG, Metz – Lens, Nicea – Lille (wszystkie 19.00), Marsylia – Angers, Nantes – Monaco, Paris – Lyon, Strasbourg – Auxerre, Toulouse – Rennes (wszystkie 21.05)

1. PSG	9	20	19:8
2. Lens	9	19	14:8
3. Marsylia	9	18	22:9
4. Lyon	9	18	13:9
5. Lille	9	17	22:11
6. Monaco	9	17	18:13
7. Strasbourg	9	16	18:12
8. Nicea	9	14	14:15
9. Toulouse	9	13	15:13
10. Rennes	9	11	12:14
11. Paris	9	10	14:17
12. Brest	9	9	14:17
13. Nantes	9	9	7:10
14. Le Havre	9	9	11:16
15. Angers	9	9	6:12
16. Lorient	9	8	12:21
17. Auxerre	9	7	7:13
18. Metz	9	2	6:26

1-3 – LM, 4 – el. do LM, 5 – LE, 6 – el. do LKE, 16 – baraż, 17-18 – spadek
STRZELCY
8 – Panichelli (Strasbourg), 7 – Greenwood (Marsylia), 5 – Diop (Nicea), Fati (Monaco)

Zły kierunek watahy

Angielscy giganci zagrają dzisiaj w Pucharze Ligi, ale to nie u nich atmosfera jest najgorętsza.

ANGLIA

Wiadomo, że ciepło jest w Liverpoolu, gdzie kryzys ma się bardzo dobrze. Dzisiaj The Reds zagrają ze swoim pogromcą Crystal Palace, z którym przegrali niedawno w lidze i któremu ulegli na inaugurację sezonu w starciu o Tarczę Wspólnoty. Trener Arne Slot nie powinien jednak jeszcze martwić się o posadę, czego nie może powiedzieć Vitor Pereira.

W tym sezonie Premier League zwolniono trzech trenerów – dwóch w Nottingham Forest i jednego w West Hamie. Kwestią czasu wydaje się, kiedy do tego grona dołączy Wolverhampton Wanderers, które szoruje po dnie Premier League, mając ledwie dwa punkty po 9. kolejkach. To kolejne fatalne wejście w sezon ekipy Wilków, która w elicie występuje od 2018 roku. Na papierze nie jest to rzecz jasna potęga, ale na pewno stać tę drużynę na chociaż kilka punktów więcej. Wolves w ostatniej kolejce przegrali u siebie 2:3 z beniaminkiem Burnley, tracąc decydującą bramkę w piątej doliczonej minucie. Spotkanie to z trybun Molineux oglądała 11-osobowa delegacja chińskich właścicielu klubu, zaniepokojona jego wynikami.

Trener Pereira przejął zespół w grudniu i utrzymał w Premier League. Po sezonie pił z kibicami piwo w jednym z lokalnych pubów, ale ostatnio po raz pierwszy usłyszał słynną przyśpiewkę „Sacked in the morning", będącą żądaniem jego zwolnienia. Fani są także przeciwni właścicielom, oskarżając ich o słabe okienko transferowe, w którym Wolverhampton stracili dwie największe gwiazdy, Matheusa Cunhę (Manchester United) i Rayana Ait-Nouriego (Manchester City). Pereirze nie pomógł fakt, że po porażce z Burnley... omal nie wdał się w bójkę z fanami, w czym uczestniczył też kapitan Jorgen Strand Larsen. Na konferencji prasowej niepotrzebnie też narzekał na przyśpiewki kibiców. Dzisiaj Wolves podejmą w Pucharze Ligi Chelsea i jeśli ten mecz nie zadecyduje o przyszłości portugalskiego trenera, to będzie nim pewnie ligowe starcie z Fulham – ostatnią w tej chwili bezpieczną drużyną ligi.

A jako ciekawostkę warto przywołać fakt, że w Wolverhampton zmieniało trenera... przez trzy jesienie z rzędu! W październiku 2022 „poleciał" Bruno Lage, w sierpniu 2023, trzy dni przed startem sezonu, odszedł Julen Lopetegui (nie był zadowolony z budowy składu), a w grudniu zeszłego roku – Gary O'Neil.

(PTub)

4. RUNDA PUCHARU LIGI ANGIELSKIEJ

Środa: Arsenal – Brighton, Liverpool – Crystal Palace, Swansea – Man. City, Wolverhampton – Chelsea (wszystkie 20.45), Newcastle – Tottenham (21.00). Wtorkowe mecze zakończyły się po zamknięciu wydania.

Sport 6eff6eae49

Rozstrzelały się

Polki świetnie zakończyły październikowe zgrupowanie, zdobywając pięć bramek w rywalizacji z Walią.

REPREZENTACJA KOBIET

Choć podczas październikowego zgrupowania Polki rozgrywały mecze towarzyskie, selekcjonerka Nina Patalon nie zdecydowała się na przetestowanie zawodniczek, które do tej pory nie zdążyły pokazać się w dłuższym wymiarze w narodowych barwach. Trenerka w piątkowym meczu z Holandią (0:0) postawiła na sprawdzoną jedenastkę, zastępując tylko kontuzjowaną Ewę Pajor. Z kolei wczoraj w rywalizacji z Walią w Newport dokonała jednej dodatkowej roszady, dając szansę występu bramkarce GKS-u Katowice, Kindze Seweryn.

Biało-czerwone bardzo dobrze poradziły sobie w rywalizacji z Oranje, więc mogliśmy się spodziewać, że z ekipą z Wielkiej Brytanii również zaprezentują się nieźle. Tymczasem już w 5 minucie straciły bramkę! Musiały się więc szybko obudzić i to im się udało. Jeszcze przed końcem pierwszej połowy wyszły na prowadzenie, a na listę strzelczyń wpisały się Nadia Krezyman i Milena Kokosz. Walijki były w szoku, ale nie miały zamiaru się poddawać. W końcu grały przed własną publicznością i swoją siłę chciały zademonstrować po zmianie stron.

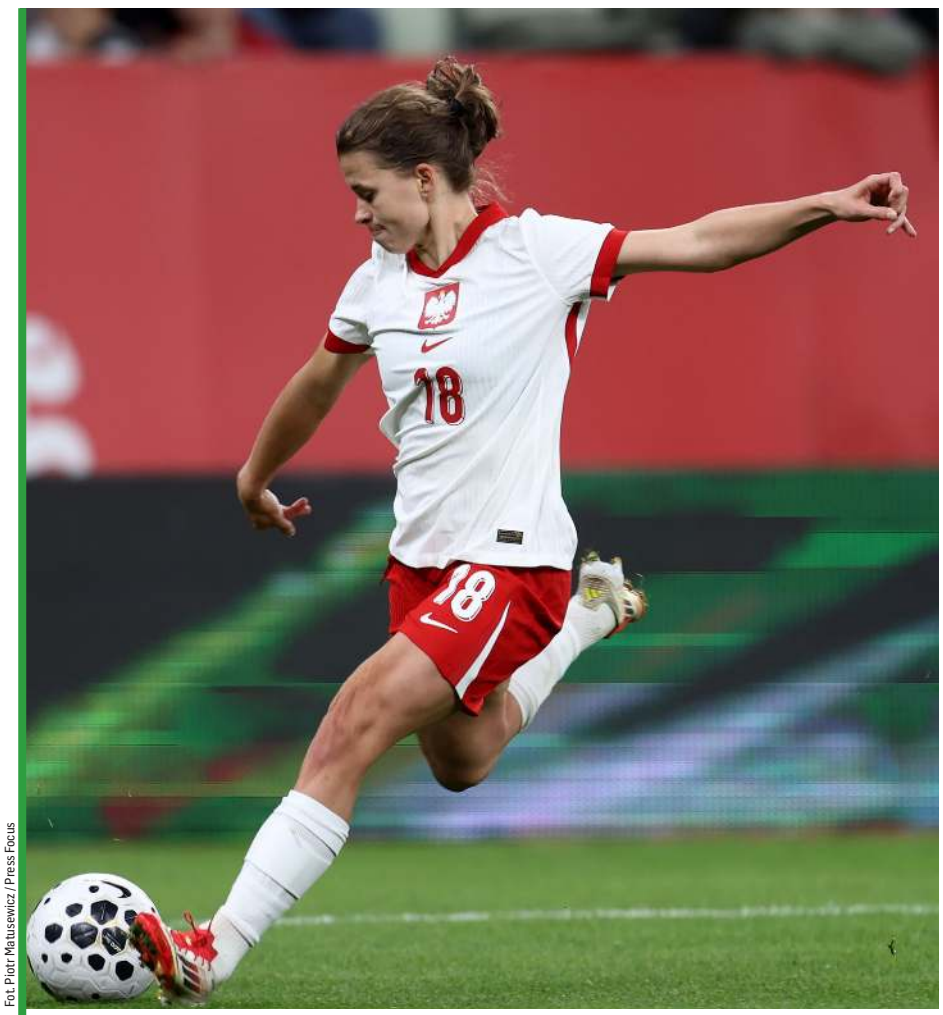
Miejscowym nie można było odmówić zaangażowania i serca. To jednak Polki podwyższyły prowadzenie w 55 minucie, gdy Krezyman skompletowała dublet. Wówczas uwidoczniła się waleczność Walijek, bo ledwie minutę później gola na 2:3 zdobyła Carrie Jones. I gdy wydawało się, że szalone tempo zdobywania bramek zaraz osłabnie, w ciągu kolejnej minuty Polki znów wyszły na dwubramkowe prowadzenie. Tym razem do siatki trafiła Paulina Tomasiak.

Po tym trafieniu polska selekcjonerka zaczęła rotować składem. Na boisku pojawiły się jednak zawodniczki z klubów zagranicznych: Weronika Zawistowska (1. FC Koeln), Gabriela Grzybowska (Dijon), Aleksandra Zaremba (Tenerife). Z czasem na plac gry weszły kolejne piłkarki: Klaudia Jedlińska z Paris FC i Oliwia Domin z Dijon. Jagoda Cyraniak z GKS-u Katowice weszła na boisko dopiero w 90 minucie. Zagrało więc kilka piłkarek z mniejszym (lub żadnym) stażem w reprezentacji. Prosiło się jednak o to, żeby większa liczba mniej doświadczonych dostała szansę w dłuższym wymiarze czasowym, tym bardziej że był to mecz o nic.

Spotkanie pięknym akcentem zakończyła Jedlińska, która cudownym strzałem ustaliła wynik.

Kacper Janoszka

■ **Walia – Polska 2:5 (1:2)**
1:0 – Hughes, 5 min, 1:1 – Krezyman, 22 min, 1:2 – Kokosz, 29 min, 1:3 – Krezyman, 55 min, 2:3 – Jones, 56 min, 2:4 – Tomasiak, 57 min, 2:5 – Jedlińska, 84 min
WALIA: Clark – Estcourt, Ladd, Ross (78. James-Turner) – Morgan, Griffiths (46. Ingle), Filbey (65. Evans), Scarlett (46. Holland) – Jones, Hughes (64. McAteer), Teisar (46. Hill). Trenerka Rhian WILKINSON.
POLSKA: Seweryn – Zieniewicz (62. Zaremba), Szymczak, Woś, Wiankowska (79. Jedlińska) – Achcińska (79. Domin), Kokosz – Padilla-Bidas (62. Grzybowska), Kamczyk, Krezyman (62. Zawistowska) – Tomasiak (90. Cyraniak). Trenerka Nina PATALON.
Sędziowała Kirsty Dowle (Anglia). **Żółte kartki:** Ladd – Kamczyk.



Fot. Piotr Matusewicz / Press Focus

Nadia Krezyman ustrzeliła dublet.



Fot. Piotr Matusewicz / Press Focus

Te panie już się nie mogą doczekać wyprawy do Oslo i wierzą, że ich ulubieńcy tym razem wyjdą z grupy.

CZY WIESZ, ŻE...

■ Podczas Euro 2024 reprezentacja Wysp Owczych została okrzyknięta rewelacją, a wpływ na to miał głównie remis (26:26) z Norwegią. Poza tym w berlińskiej grupie D przegrała ze Słowenią 29:32 i Polską 28:32, tocząc zacięty bój do 51 minuty.

Tematyczny rejs

Farerscy potomkowie Wikingów dopłyną do Norwegii na Euro nie długimi łodziami, a luksusowym statkiem pasażerskim „Norroena".

EHF EURO 2026

Kibice Wysp Owczych, które po raz drugi wezmą udział w mistrzostwach Europy mężczyzn, rozgrywanych w Norwegii, Danii i Szwecji (15 stycznia - 1 lutego 2026 roku), są tak dumni ze swojej drużyny, że na jej mecze przypłyną do Oslo ogromnym statkiem. Będą na nim mieszkać kilka dni. Luksusowy statek pasażerski „Norroena" armatora Smyril Line, który kosztował 100 milionów euro, jest największą jednostką we flocie kraju i kursuje pomiędzy duńskim Hartshils, stolicą Wysp Owczych Torshavn i Islandią. Ma 165 metrów długości i 30 szerokości. Posiada miejsca dla 1500 pasażerów oraz dla 800 samochodów lub 130 tirów.

Tym razem będzie to rejs „tematyczny", dotyczący piłki ręcznej. Potrwa 42 godziny w każdą stronę, więc przygotowano warunki bardziej luksusowe. Statek zabierze tylko tysiąc kibiców i przycumuje w samym centrum Oslo, tuż przy ratuszu. Jego pasażerowie spędzą w stolicy Norwegii kilka dni i będą się stołować na pokładzie, gdzie restauracje i puby będą czynne na okrągło. – Ze statku do pubów w stolicy Norwegii jest zaledwie 10-15 minut spacerem i po ich zamknięciu można spokojnie wrócić na pokład naszego statku, aby kontynuować zabawę, oglądając powtórki meczów na dużych ekranach – podkreślił armator.

Przyznał, że w momencie proponowania tego rejsu nie było wiadomo, czy odniesie sukces. Wszystkie bilety zostały jednak sprzedane jednego dnia! Podróż w pełnym pakiecie kosztuje 450 euro, bez biletów na mecze. Dla Farerczyków to niezbyt dużo, ponieważ zarabiają średnio 5000 euro miesięcznie. W dodatku ceny hoteli w czasie mistrzostw Europy w Oslo są bardzo wysokie, nie mówiąc o kosztach biletów lotniczych. – Wyspy Owcze mają zaledwie 55 tysięcy mieszkańców, więc licząca tysiąc osób delegacja jest wyjątkowo duża i można ją nazwać „inwazją", a morska historia zamyka się po ponad tysiącleciu. W IX wieku norwescy Wikingowie płynęli na wyspy, kolonizując je, a teraz – również drogą morską – wracają ich potomkowie – skomentowała agencja NTB.

W swoim debiucie w mistrzostwach Starego Kontynentu w 2024 roku w Niemczech Wyspy Owcze zajęły 20. miejsce, lecz – jak opisały niemieckie i norweskie media – ich kibice zajęli pierwsze; w halach byli bowiem najgłośniejsi, a w mieście najbardziej widoczni. Farerczycy mecze grupowe rozegrają ze Słowenią, Czarnogórą i Szwajcarią w Oslo (16-20 stycznia) w największej hali turnieju, z miejscami dla 15 tysięcy widzów.

Zbigniew Kuczyński/PAP, opr. ZC

LIGA CENTRALNA KOBIET

Start Pietrowice Wielkie - SMS ZPRP Kielce 32:34 (14:18), MTS Żory - Eisberg Dziewiątka Legnica 32:22 (15:7), Elams-KPS Radom - SPR Pogoń Szczecin 25:22 (12:9), Energa Sambor Tczew - SPR Olkusz 33:29 (15:17), SMS ZPRP Płock - AZS AWF Warszawa 19:32 (8:15), Enea PR Poznań pauzowała.

1. Żory	6	18	191:135
2. Radom	5	15	167:125
3. Kielce	6	13	177:173
4. Poznań	6	12	194:166
5. Tczew	5	12	154:141
6. Legnica	5	8	133:140
7. Warszawa	5	3	131:145
8. Pietrowice Wlk.	6	3	174:194
9. Szczecin	6	3	135:161
10. Olkusz	3	0	80:104
11. Płock	5	0	104:156

Mecz zaległy - 30 października: Olkusz - Radom; 7. kolejka - 31 października-9 listopada: Poznań - Tczew, Kielce - Żory, Legnica - Radom, Warszawa - Pietrowice Wlk., Olkusz - Płock.

LIGA CENTRALNA MĘŻCZYZN

AZS AWF Biała Podlaska - AZS AGH Kraków 33:36 (18:18), KSPR Gwardia Koszalin - Grot Blachy Pruszyński Anilana Łódź 28:28 (16:14) rzuty karne 2:4, Enea WK Grunwald Poznań - SMS ZPRP Kielce 29:25 (16:12), AZS UW Warszawa - Jurand Ciechanów 37:48 (17:24), Siódemka Miedź Legnica - KPR Padwa Zamość 37:35 (19:18), MKS Nielba Wągrowiec - WKS Śląsk Wrocław 30:32 (16:16), Stal Gorzów Wielkopolski - Sandra Spa Pogoń Szczecin 23:29 (9:18).

1. Pogoń	7	20	230:207
2. Śląsk	7	19	229:175
3. Kraków	7	15	234:208
4. Grunwald	7	15	206:194
5. Jurand	6	12	222:199
6. Padwa	7	12	230:217
7. Stal	7	11	206:221
8. Nielba	7	10	233:230
9. Miedź	7	9	212:218
10. Anilana	7	8	205:210
11. Biała Podlaska	6	6	178:188
12. Kielce	6	3	170:207
13. Gwardia	6	1	145:178
14. Warszawa	7	0	211:259

Mecz zaległy - 31 października: Jurand - Gwardia; 8. kolejka - 7-9 listopada: Anilana - Śląsk, Padwa - Gwardia, Pogoń - Miedź, Warszawa - Stal, Kielce - Jurand, Kraków - Grunwald, Nielba - Biała Podlaska.

(m)

Sport 6eff6eae49

Wszystkiemu winny buzzer?

Skrzywdzona w Koszalinie Sośnica złożyła protest z żądaniem powtórzenia meczu. Gliwiczanki padły ofiarą decyzji delegata, który przerwał ich kontrę w ostatniej akcji spotkania.

ORLEN SUPERLIGA KOBIET



Ekipa z Gliwic nie może się pogodzić z tym, co stało się w końcówce potyczki w Koszalinie.

Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

Złożyliśmy protest, bo według regulaminu, mieliśmy na to 48 godzin. Czy i w jaki sposób zostanie rozpatrzony, nie mam pojęcia. Nie mogliśmy jednak tego tak zostawić, bo to co się zdarzyło w Koszalinie, jest dla mnie niepojęte – mówi Michał Kubisztal, trener Sośnicy Gliwice, który - choć minęło już sporo godzin - nie potrafi ze spokojem odnieść się do sobotniego spotkania, które zakończyło się porażką jego zespołu, ale decydujący wpływ na wynik miała ogromna kontrowersja sędziowska z ostatniej minuty.

Sprawca zamieszania nie będzie przepraszał

Przypomnijmy, w ostatniej akcji piłkę przejęła Maja Tukaj i ruszyła na bramkę. Wychodziła już na czystą pozycję i w tym momencie „stolik" gwizdkiem przerwał grę, gdyż podobno poprosił o to trener miejscowej drużyny Dmytro Hrebeniuk, niemający - zgodnie z przepisami - prawa do tego przywileju. Pomyłka została „naprawiona", gra została wznowiona, a w posiadaniu piłki nadal były przyjezdne.

„Zarząd pragnie poinformować, że w związku z sytuacją z ostatnich sekund meczu przeciwko Piłka Ręczna Koszalin, opierając się na przepisach Orlen Superligi Kobiet, rozważa złożenie protestu. Trener Dmytro Hrebeniuk, wg nagrania, zażądał czasu w momencie posiadania piłki przez Maję Tukaj, co powinno skutkować zastosowaniem przepisów opisanych w regulaminie elektronicznego systemu żądania czasu dla drużyny. Co więcej, na nagraniu widać celowość decyzji Pana Trenera" - przeczytaliśmy w komunikacie zarządu Sośnicy Gliwice, opublikowanym w sobotę w mediach społecznościowych, a już w poniedziałek sprawa stolikowej kontrowersji miała dalszy bieg. Dodajmy, że w Koszalinie uważają, iż wersja gości mija się z prawdą. Podobnego zdania jest delegat ZPRP Dariusz Mroczkowski, który nie czuje się winny. Główny sprawca całego zamieszania, by nie rzec skandalu, nie zamierza nikogo przepraszać.

- Nie wiem, czy bardziej przeraża mnie to, co się stało, czy to jak oni się mgliście tłumaczą – mówi dalej trener Kubisztal. - Natychmiast po przerwaniu akcji podbiegłem do stolika i mówię: „Chwila, chwila, panowie. Przecież trener Hrebeniuk nie nacisnął buzzera*, nie wziął czasu, a mimo to gra została przerwana, kiedy byliśmy przy piłce. Dlaczego? - zapytałem. Delegat odparł, iż uznał, że trener Hrebeniuk przekroczył jemu przysługującą strefę przerwy na żądanie, kiedy jego zespół jeszcze był w posiadaniu piłki, więc mógł nacisnąć buzzer. I dodał, że w tym momencie trener... patrzył na niego. Czyli delegat ewidentnie „przeczytał" trenera z Koszalina w myślach? A potem jeszcze krótko się tłumaczył, że zagwizdał, ponieważ... buzzer był zepsuty. Spytałem więc zaskoczony: „Jak buzzer może być zepsuty, skoro 30 sekund wcześniej brałem czas i działał. Skąd więc ten pomysł z awarią?" Usłyszałem w odpowiedzi: „Nie ma pan racji, bo buzzer już wcześniej się zacinał. Mogłem więc użyć gwizdka, gdyż zanim podniosłem gwizdek ze stolika, nastąpił wasz przechwyt piłki, więc wiedziałem, że trener Hrebeniuk poprosił o minutę przerwy, jednak wcześniej niż przechwyciliście piłkę.

Żenujące tłumaczenie

Szkoleniowiec Sośnicy podkreśla, że tłumaczenie delegata było dla niego żenujące. - No bo jak? - zastanawia się. - Przejęliśmy piłkę. Było 10 sekund do końca, a Maja Tukaj nie miała już nikogo przed sobą, tylko bramkarkę. Gdyby nie zdobyła bramki, to przegralibyśmy mecz. Gdyby rzuciła, to o wyniku decydowałyby rzuty karne. Sprawa rozstrzygnęłaby się na boisku, a nie przy zielonym stoliku. Tymczasem o wszystkim decydował delegat, którego zadaniem jest obserwowanie, nie decydowanie.

Emocje wzięły górę

Gliwicki szkoleniowiec przyznaje, że atmosfera zrobiła się prawie wojenna. - Wszyscy byliśmy „zagotowani" tą sytuacją, emocje brały górę - przyznaje. - Stolikowi cofnęli czas na tablicy, ale co z tego? Rywalki były w stanie wyjść na parkiet i z chłodną głową się ustawić w obronie, nie były „na wrzeniu", jak przed zajściem. Zmieniło się więc zupełnie oblicze tej sytuacji do tej, kiedy to my sunęliśmy z ostatnim atakiem. Moim zdaniem sędziowie powinni od razu zasygnalizować grę na czas, bo to było w ich gestii. Niedopuszczalne było natomiast to, że delegat zadysponował przerwę na żądanie dla jednej z drużyn i to w decydującym, newralgicznym momencie meczu.

Z sędziami nikt jeszcze w Polsce nie wygrał, zatem nasuwa się pytanie: na co liczą w Gliwicach po złożeniu protestu? - Dla mnie sytuacja jest zero jedynkowa – uważa Michał Kubisztal. - Albo mecz zostanie powtórzony, albo protest odrzucony. Nie widzę możliwości, że protest zostanie uznany, lecz mecz z jakiegoś innego powodu nie będzie powtórzony. Gdyby to nie była decydująca akcja, nie byłoby tematu. Pewnie nie myślelibyśmy o proteście, ale patrząc na sytuację w tabeli, dla nas każda zdobycz jest bardzo ważna. Remis i porażka w rzutach karnych dałyby nam punkt. Wygrana w rzutach karnych – dwa punkty, a koszalinianki nie zainkasowałyby wtedy trzech „oczek". Ustawiałoby to nas w zupełnie innej sytuacji niż aktualnie jesteśmy (Sośnica ma cztery punkty i zajmuje 9., przedostatnie miejsce - przyp. red.).

Wideo pokazuje prawdę

Jak wspomnieliśmy – delegat nie przepraszał, bo uważał, że miał prawo reagować gwizdkiem, gdy buzzer był zepsuty. - Na wideo ewidentnie widać, że trener ruszył w kierunku buzzera dopiero w momencie, gdy mieliśmy piłkę – przekonuje szkoleniowiec Sośnicy. - I powtórzę - ja w 59 minucie brałem czas i wtedy buzzer działał. Wcześniej trener Hrebeniuk brał czas i również działał. W pierwszej połowie obaj braliśmy time-outy – buzzer działał. Rozumiem, że pan Mroczkowski musi teraz znaleźć jakieś wytłumaczenie dla siebie, ponieważ inaczej „ugotuje się", jako delegat. Nie rozumiem natomiast, że z jakiegoś powodu mu się gwizdnęło. Z jakiego powodu oddał Koszalinowi w takim momencie piłkę? Moim zdaniem za niezgodne z przepisami, niesportowe zachowanie trener Hrebeniuk powinien zobaczyć czerwoną kartkę, gdyż już wcześniej miał 2 minuty kary, a do tego powinien być rzut karny dla nas. By było ciekawiej, niespełna godzinę po meczu usłyszeliśmy w ZPRP, mniejsza od kogo, zamiast zdania „jak przeanalizujemy, to zdecydujemy" - opinię, że „delegat już pisał, że buzzer był zepsuty, że piłka była jeszcze w posiadaniu zespołu z Koszalina, że ta sytuacja nie była taka jednoznaczna". Tak więc nie minęła jeszcze godzina, a związek już wysłuchał wytłumaczenie delegata!

Zdegustowany trener

„Kubeł" jest zdegustowany sytuacją. Nie ukrywa, że jego podopieczne wracały na Śląsk z poczuciem skrzywdzenia. - Mecz był bardzo fajny – przyznaje. - Dziewczyny obu drużyn walczyły na całego. Myśmy mieli tylko pięć czy sześć niewymuszonych błędów. OK, zawaliliśmy trochę ze skutecznością, inaczej mogliśmy ten mecz w końcówce rozstrzygnąć. Mamy pretensje do siebie, że nie wykorzystaliśmy w ważnych momentach wszystkich sytuacji rzutowych, ale na tym ten sport polega. Poza tym, po drugiej stronie stała dobra bramkarka. Dlatego gdybyśmy ten mecz przegrali na boisku, w kategoriach fair play, to mielibyśmy pretensje jedynie do siebie. I dodam, że nie mieliśmy też pretensji do sędziów. OK, można dyskutować, że mieli przyjętą trochę dziwną linię sędziowania, ale wyniku nie wypaczyli. Powtórzę jednak – szkoda, że wszystko rozstrzygnął delegat przy stoliku, a nie boisko.

Przemęczeni, nieszkoleni, społeczni sędziowie

Czyli nic się nie poprawia u panów „w czerni"? - Nie – potwierdza były reprezentacyjny rozgrywający, dziś będący w innej roli. - Sędziowie się tłumaczą, że mają coraz mniej czasu, nie mają specjalnych szkoleń, nie są zawodowcami. Tylko co to za tłumaczenie? Jeśli mamy ligę zawodową, to wymagajmy profesjonalizmu także z drugiej strony. Taki błąd, że się delegatowi „coś" nacisnęło, czy komuś „coś" się gwizdnęło, może skutkować moją ewentualną stratą pracy, obniżeniem zarobków, ponieważ mam kontrakt i rozlicza się mnie z wyników. Mogę opowiadać, jaki jestem zajebisty, jak pięknie szkolę, ale wyniki pokazują coś innego. Nikt mnie nie będzie pytał, czy sędzia lub obserwator, delegat popełnili błąd, czy nie. Tylko usłyszę: „jesteś zwolniony". I koniec, kropka. Dziewczyny są załamany, bo to wszystko bardzo boli. Z jednej strony mają z tyłu głowy - „mogłam lepiej zagrać, albo jakbym rzuciła sam na sam", a z drugiej myślą: „skoro mecz trwa 60 minut, to dlaczego delegat rozstrzygnął go w 15 sekund? Nie pozwolił nam go rozstrzygnąć na boisku?" Bardzo mocno gryzłem się w język po meczu, żeby nie powiedzieć za dużo. W ubiegłym sezonie, jak coś powiedziałem na sędziów, wytknąłem im błąd, to dostałem 2500 złotych kary z adnotacją, że orzeczeń sędziowskich nie krytykuje się na zewnątrz...

Zbigniew Cieńciała

■ Buzzer - elektroniczny system żądania „czasu dla drużyny". Drużyna może zgłosić przerwę na żądanie (team time-out) bezpośrednio poprzez naciśnięcie przycisku (buzzer) na urządzeniu elektronicznym, zamiast położenia zielonej kartki na stolik sędziowski. Buzzer jest bezpośrednio połączony z oficjalnym systemem tablicy wyników.

Sport 6eff6eae49

Milicić postawi na obronę

Trener naszej kadry zaczyna przygodę w Salonikach. W greckim klubie oczekiwania są duże. Będziemy na boisku pełni energii w każdym meczu – obiecał.

POLACY ZA GRANICĄ

■ Wydarzeniem tygodnia było zatrudnienie w Arisie trenera polskiej kadry, Igora Milicicia; klub z Salonik rozstał się z Serbem Bogdanem Karaiciciem. Aris przegrał wszystkie trzy mecze w greckiej ekstraklasie, a w Pucharze Europy, w którym w grupie A jednym z jego rywali jest Śląsk Wrocław, wygrał dwa z czterech spotkań. – Chcę, żeby ten zespół walczył i mogę to obiecać. Chcę, żeby drużyna miała energię i walczyła od pierwszej sekundy. Oczywiście zwycięstwo nie zawsze przychodzi, ale będziemy na boisku pełni energii w każdym meczu – obiecał Milicić na poniedziałkowym spotkaniu z dziennikarzami w Salonikach. – Obrona będzie dla mnie najważniejsza, na to będziemy kładli nacisk na pierwszych treningach – zapowiedział. Polski szkoleniowiec po raz ostatni w klubie pracował przed rokiem. Po słabym starcie w Serie A zwolniony został z Napoli.



Fot. ARIS B.C.

Igor Milicić już w nowej pracy.

■ W lidze włoskiej dobrą dyspozycję utrzymuje Dominik Olejniczak. Reprezentacyjny środkowy zdobył 12 punktów i miał 8 zbiórek w wygranym przez jego Bertram Derthona Tortona meczu z Trapani Shark (108:100). Olejniczak był na boisku 23 minuty, wyszedł w pierwszej piątce, trafił 5 z 9 rzutów z gry, wykorzystał oba osobiste. Tortona w czterech meczach odniosła trzy zwycięstwa i zajmuje 4. miejsce w tabeli Serie A.

■ W lidze hiszpańskiej Aleksander Balcerowski rozegrał kolejny bardzo dobry mecz. W spotkaniu na Teneryfie Polak w 22 minuty zdobył 18 punktów, trafił 7 z 9 rzutów za 2 i miał 4 zbiórki. Unicaja przegrała jednak 79:95. Z kolei Luke Petrasek zdobył tylko 2 „oczka" (0/4 za trzy), miał 2 zbiórki i asystę, a jego Surne Bilbao pokonało we własnej hali MoraBanc Andora 81:71. Unicaja po czterech kolejkach spadła na 8. miejsce, a Bilbao jest 11. Bez porażki są Teneryfa i Valencia.

■ W Portugalii rozegrano mecze 1. rundy krajowego pucharu im. Hugo Santosa. Aleksander Dziewa zdobył 2 punkty w wygranym spotkaniu Benfiki Lizbona z Vitorią Guimares (105:72). Nasz zawodnik miał też 2 zbiórki i 2 asysty, a na boisku przebywał 14 minut.

■ W lidze tureckiej Bahcesehir niespodziewanie przegrał z Eroksporem (65:83). Mateusz Ponitka w 24 minuty zdobył 8 punktów, miał 4 zbiórki i asystę. Trafił oba rzuty za 2, 1/3 za 3 oraz 1/2 z linii osobistych. To pierwsza porażka zespołu ze Stambułu. Lepiej wiedzie się drużynie Anadolu Efez, która na wyjeździe pokonała Trabzonspor (81:74). Jordan Loyd był na boisku 25 minut, zdobył 8 punktów, dodał zbiórkę, asystę i przechwyt. Nasz kadrowicz trafił 1/2 za dwa, 2/3 za trzy. Anadolu bez porażki jest na czele tabeli, Bahcesehir z bilansem 4-1 zajmuje 3. miejsce.

■ W Bundeslidze mocne lanie zaliczyły Wilki Morskie. Zespół trenera Przemysława Frasunkiewicza przegrał w Brunszwiku z tamtejszym Loewen 71:92. Łukasz Kolenda w 25 minut zdobył 10 punktów, miał 4 zbiórki, 2 asysty i przechwyt. Były zawodnik Arki Gdynia trafił 1/2 za 2, 2/3 za 3 punkty oraz 2/2 na linii osobistych. Miał drugi w zespole wskaźnik efektywności. Dla Brunszwiku była to pierwsza wygrana w sezonie. Rostock Seawolves spadli na 14.miejsce w tabeli.

(pp)

Ten pierwszy raz

ORLEN BASKET LIGA KOBIET

Artego pokonało u siebie Polonię Warszawa. To pierwsze zwycięstwo drużyny z Bydgoszczy w tym sezonie.

■ **Artego Bydgoszcz - Polonia Warszawa 83:80 (20:25, 24:16, 24:17, 15:22)**

BYDGOSZCZ: Sobiech 11 (2x3), Pokk 16 (4x3), Jones 18 (1x3), Michałek 8 (1x3), Danielewicz 3 - Lombard 5 (1x3), Keller 15, Pawlikowska 7, Maławy. Trener Maciej GORDON.

WARSZAWA: Wesołowska 9 (1x3), Vitulova 14 (1x3), Sosnowska, Watson 32 (5x3), Masłowska 3 - Rogozińska 3, Puter 6, Harden 6, Kusiak 7 (1x3). Trener Maciej BRODZIŃSKI.

1. Lublin	4	8	323:270
2. Poznań	4	8	308:272
3. Bochnia	4	7	321:321
4. Gorzów	4	7	322:241
5. Wrocław	4	7	316:253
6. Sosnowiec	4	6	353:290
7. Gdynia	4	6	320:285
8. Kraków	4	5	255:285
9. Bydgoszcz	4	5	284:341
10. Warszawa	4	5	290:324
11. Toruń	4	4	253:307
12. Jelenia G.	4	4	233:389

Najbliższe mecze: Poznań - Gdynia, Gorzów - Sosnowiec, Jelenia Góra - Kraków, Lublin - Wrocław, Toruń - Warszawa, Bochnia - Bydgoszcz (wszystkie 2.11.).

(pp)

Falstart gdynianek

Mistrzynie Polski niespodziewanie przegrały cztery mecze z rzędu. Czy w spotkaniu z liderem grupy się przełamią?

EUROPEJSKIE PUCHARY

Rusza rewanżowa runda meczów grupowych w kobiecej Eurolidze. Mistrzynie Polski w trzech dotychczasowych spotkaniach zanotowały wyłącznie porażki. Gdynianki są ostatnio w sporym dołku, przegrały cztery mecze z rzędu, w dodatku wszystkie we własnej hali! Punkty z Trójmiasta wywiozły kolejno ekipy z Bourges, Wrocławia, Pragi oraz ostatnio lubelski AZS UMCS. Ostatnie miejsce w grupie A Euroligi oraz dopiero siódme w polskiej ekstraklasie to znak, że zespół zaliczył duży falstart. Forma zawodniczek jest daleka od oczekiwań, kłopotem są też kontuzje. Ze składu wypadła Karolina Ułan, dopiero kilka dni temu wróciła Stephanie Jones.

Warto też wspomnieć, że zespół został tak zbudowany, że w meczach z silnymi krajowymi i europejskimi rywalkami ma problem z walką pod tablicami, wyraźnie ustępując fizycznością. W spotkaniu z Akademiczkami z Lublina przyjezdne zanotowały blisko 20 zbiórek więcej! Dokładnie tak samo było kilka dni wcześniej, gdy w Gdyni zagrała drużyna mistrza Czech.

W środę gdynianki podejmują hiszpańską Gironę, która przewodzi grupowej tabeli. Na wyjeździe rywalki rozbiły nasz zespół różnicą aż33 punktów. Teraz znów będą faworytkami, obok Galatasaray i Fenerbahce jako jedyne pozostają bez porażki. Kłopotem VBW są też kibice, a właściwie ich brak. 200-300 osób na trybunach ogromnej Polsat Plus Arena tworzy bardzo smutne wrażenie.

TERMINARZ SPOTKAŃ POLSKICH DRUŻYN

Środa, 29 października
Euroliga Kobiet
GDYNIA, 18.00: VBW - Spar Girona
BKT Puchar Europy
WROCŁAW, 19.00: Śląsk - Umana Reyer Wenecja
FIBA Europe Cup
LUBLIN, 18.30: PGE Start - UCAM Murcia
MITROVICA, 18.30: BC Trepca - Anwil Włocławek
SOPOT, 19.15: Energa Trefl - BC Kalev/Cramo Talin
PUCHAR EUROPY KOBIET
OSTRAWA, 19.15: SBS - MB Zagłębie Sosnowiec

Czwartek, 30 października
PUCHAR EUROPY KOBIET
LUBLIN, 18.00: AZS UMCS - Basket Namur Capitale
STAMBUŁ, 18.00: Besiktas - KSSSE ENEA AZS AJP Gorzów
STARA ZAGORA, 18.00: Beroe - Ślęza Wrocław

(p)

DEKLARACJA WEMBANYAMY

NBA

■ Jeremiemu Sochanowi trudno będzie wrócić do składu rozpędzonych Spurs. San Antonio Spurs zaczęto sezon od wygrania czterech kolejnych meczów! W poniedziałek ekipa z Teksasu ograła Toronto Raptors 121:103, a Victor Wembanyama znów był pierwszoplanową postacią. Francuz zdobył 24 punkty i miał znakomity procent skuteczności (trafił 7 z 8 rzutów z gry, 10/10 z linii osobistych). Dodał też 15 zbiórek. Spurs to nie tylko Wembanyama, bo przeciw Toronto aż sześciu graczy miało dwucyfrowy dorobek punktowy. Drugoroczniak Stephon Castle zanotował 22 punkty, a Harrison Barnes 18. – W szatni panuje świetna atmosfera. Wzajemnie sobie ufamy, każdy ma dużo pewności siebie – mówił po meczu Barnes. Spurs nigdy nie zaczęli sezonu od pięciu wygranych. – Serio? Jestem zaskoczony. Zatem pobijemy ten rekord! – zapowiedział z uśmiechem Wembanyama. Wciąż nie gra kontuzjowany De'Aaron Fox, a w najbliższym czasie do składu ma wrócić Jeremy Sochan. Naszemu reprezentantowi trudno jednak będzie wskoczyć do pierwszej piątki, bo jego koledzy grają ostatnio bardzo dobrze. Pozostały już tylko cztery drużyny bez porażki. Na Wschodzie są to Chicago i Philadelphia (po 3-0), a na Zachodzie – oprócz Spurs – broniąca tytułu Oklahoma City (oba po 4-0). Niespodzianką jest bardzo słaby start Indiany. Ta drużyna wygrała rywalizację w Konferencji Wschodniej i grała w wielkim finale minionego sezonu, a obecny zaczęła od trzech kolejnych porażek. W klubie doszło do pierwszych nerwowych ruchów – sprowadzono w trybie pilnym Maca McClunga, który zasłynął tym, że trzy razy wygrywał konkursy wsadów podczas All Stars Weekends. Debiutował w lidze przed czterema laty w barwach Chicago Bulls, występował w Lakers, Sixers i Orlando, ale zwykle grał epizody. Czy teraz to się zmieni? Pacers planują pożegnać środkowego Jamesa Wisemana (numer 2 draftu 2020), który nie spełnia ich nadziei. Zespół ma problemy z kontuzjami – w tym sezonie nie zagra już lider Tyrese Haliburton, brakuje Andrewa Nembharda (uraz barku), doświadczonego rezerwowego rozgrywającego T.J. McConnella (uraz lewego ścięgna podkolanowego), skrzydłowego Bennedicta Mathurina (uraz prawego palca u nogi) oraz debiutujących obrońców Taelona Petera (uraz prawej pachwiny) i Kama Jonesa (uraz dolnej części pleców), a doświadczony skrzydłowy Obi Toppin opuścił niedzielny mecz przegrany z Minnesotą z powodu kontuzji prawego ścięgna podkolanowego.

Wyniki. Golden State - Memphis 131:118, Detroit - Cleveland 95:116, Philadelphia - Orlando 136:124, Chicago - Atlanta 128:123, Houston - Brooklyn 137:109, New Orleans - Boston 90:122, San Antonio - Toronto 121:103, Dallas - Oklahoma City 94:101, Utah - Phoenix 138:134 po dogrywce, Minnesota - Denver 114:127, LA Lakers - Portland 108:122.

(pp)

Sport 6eff6eae49

Powrót na salony

ALURON CMC WARTA ZAWIERCIE

Po siedmiu latach polski zespół ponownie wystąpi w Klubowych Mistrzostwach Świata. Jurajscy Rycerze oficjalnie potwierdzili udział w tych rozgrywkach.

Klubowe Mistrzostwa Świata to stosunkowo młode rozgrywki. Pierwsza edycja odbyła się wprawdzie już w 1989 roku, ale w 1992 roku zostały zawieszone. Wróciły w 2009 roku i od tamtej pory rozgrywane są regularnie. Nasz kraj reprezentowały w nich: PGE Skra Bełchatów, Jastrzębski Węgiel, ZAKSA Kędzierzyn-Koźle i Asseco Resovia. Polska drużyna po raz ostatni wystąpiła jednak w 2018 roku. Na przeszkodzie stawały względy finansowe, logistyczne i zdrowotne. Turniej finałowy rozgrywany był bowiem w Ameryce Południowej lub w Azji.

W tym roku Polacy wracają do walki. Szefowie Aluronu CMC Warty oficjalnie potwierdzili udział w zawodach. Prawo gry w nich wywalczyli, zdobywając srebro w Pucharze Europy. KMŚ to wydarzenie, które pozwala na globalną promocję zarówno klubu, jak i całej polskiej siatkówki. Niestety, od kilku lat sukcesywnie były omijane przez drużyny z PlusLigi, które miały prawo do udziału w tej imprezie. - Nasz klub zawsze lubił jednak pokazywać, że warto zainwestować w rozpoznawalność marki oraz zdobywanie doświadczenia na międzynarodowych arenach. Z tego samego powodu chcemy zadebiutować w KMŚ. To dla nas doskonała okazja do siatkarskiego rozwoju, promocji naszego klubu poza granicami Europy oraz budowania sieci kontaktów z drużynami oraz partnerami z całego świata – podkreślił Kryspin Baran, prezes klubu z Zawiercia.

Turniej odbędzie się w brazylijskim Belem w dniach 16-21 grudnia. Udział w nim weźmie osiem zespołów, podzielonych na dwie grupy. Aluron CMC Warta zagra w grupie A wraz z Volei Renata Campinas i Praia Club (oba Brazylia) oraz mistrzem Azji Al-Rayyan Sports Club z Kataru. W grupie B wystąpią Sada Cruzeiro (Brazylia), Sir Sicoma Monini Perugia (Włochy), Swehly Sports Club (Liban) i Osaka Bluteon (Japonia). Do półfinałów awansują po dwie najlepsze ekipy z każdej grupy.

(mic)

Dalecy od formy

Drugi mecz i druga porażka częstochowian. Pozytyw? Pierwszy punkt w sezonie.

PLUSLIGA

Nie tak wyobrażano sobie początek sezonu pod Jasną Górą. Oczekiwano zwycięstw, bo zespół ma bić się o czołowe miejsca, a tymczasem najpierw była bolesna przegrana z Bogdanką LUK Lublin we własnej hali, a wczoraj wyjazdowa porażka z Barkomem Każany Lwów.

W Elblągu – lwowianie w tym mieście występują w roli gospodarzy – przyjezdni zaprezentowali się słabo. Brakuje im świeżości. Widać, że główny atakujący Patrik Indra i rozgrywający Luciano De Cecco dopiero co dołączyli do drużyny i odczuwają zmęczenie grą w niedawnych mistrzostwach świata. Dalecy od formy z poprzedniego sezonu są też Milad Ebadipour i Bartłomiej Lipiński.

Częstochowianie od początku mieli problemy i grali bardzo nierówno; dobre akcje przeplatali fatalnymi pomyłkami. Gospodarze mieli więcej jakości. Lorenzo Pope i Wasyl Tupczij trzymali atak. Efektownie prezentował się też Mousse Gueye. Jego potężne zbicia z krótkiej wywoływały aplauz na trybunach.

Gospodarze powinni wygrać 3:0. W pierwszym secie prowadzili już bowiem 20:17. W końcówce popełnili jednak kilka błędów w przyjęciu zagrywki i dali sobie wyrwać wygraną. W czwartej partii natomiast zaliczyli słabszy fragment, a przyjezdni akurat mieli lepszy moment. W pozostałych odsłonach przewaga lwowian nie była zagrożona.



Fot. PAP / Adam Warżawa

Lorenzo Pope był bohaterem Barkomu Każany Lwów.

■ **Barkom Każany Lwów – Steam Hemarpol Politechnika Częstochowa 3:2 (24:26, 25:23, 25:20, 21:25, 15:11)**

LWÓW: Kampa, Pope (25), Szczurow (6), Tupczij (22), Kowalow (7), Gueye (11), Pampuszko (libero) oraz Firkal, Nakano (1), Kuts, Szewczenko (1). Trener Ugis KRASTINS.

CZĘSTOCHOWA: De Cecco (2), Ebadipour (15), Nowak (14), Indra (25), Lipiński (4), Adamczyk (9), Masłowski (libero) oraz Kowalski, Jeanlys, Kiedos (8). Trener Guillermo FALASCA.

Sędziowali: Jarosław Makowski (Szczecin) i Agnieszka Michlic (Bydgoszcz). Widzów 962.

Przebieg meczu
I: 10:9, 15:14, 20:17, 24:26.
II: 10:8, 14:15, 20:17, 25:23.
III: 10:9, 15:12, 20:17, 25:20.
IV: 8:10, 13:15, 19:20, 21:25.
V: 5:1, 10:7, 15:11.
Bohater – Lorenzo POPE.

1. Warszawa	2	6	2/0	6:0
2. Lublin	2	5	2/0	6:2
3. Jastrzębie	2	5	2/0	6:2
4. Rzeszów	2	5	2/0	6:3
5. Olsztyn	2	3	1/1	5:5
6. Gdańsk	2	3	1/1	5:5
7. Lwów	2	3	1/1	5:5
8. Chełm	2	2	1/1	3:5
9. Gorzów	1	1	0/1	2:3
10. Bełchatów	1	1	0/1	2:3
11. Kędzierzyn	1	1	0/1	2:3
12. Częstochowa	2	1	0/2	2:6
13. Suwałki	2	0	0/2	1:6
14. Zawiercie	1	0	0/1	0:3

1-8 play off, 14 spadek do I ligi

Następne mecze; 29.10.: Kędzierzyn-Koźle – Zawiercie, Gorzów Wlkp. – Bełchatów; 31.10: Suwałki – Gdańsk; 1.11.: Jastrzębie – Warszawa, Rzeszów – Gorzów Wlkp., Zawiercie – Częstochowa; 2.11.: Chełm – Lublin; 3.11.: Bełchatów – Kędzierzyn-Koźle, Lwów – Olsztyn.

(mic)

NASI ZA GRANICĄ

CZYM DŁUŻEJ, TYM LEPIEJ

■ Weekend w Serie A minął pod znakiem hitów. W rywalizacji kobiet Imoco Volley Conegliano pokonało na wyjeździe Igor Gorgonzola Novara 3:0 (25:20, 25:17, 25:21). Najlepsza na parkiecie była atakująca Isabelle Haak, która zdobyła 20 punktów. Świetnie zaprezentowała się też Joanna Wołosz. Rozgrywająca Imoco rozegrała całe spotkanie. Punktów nie zdobyła, lecz wystawiała pewnie i dokładnie.

Kamil Semeniuk był natomiast bohaterem hitowego starcia Sir Susa Scai Perugia z Cucine Lube Civitanova 3:2 (25:15, 22:25, 25:20, 23:25, 15:11). Nasz przyjmujący otrzymał statuetkę MVP. Pierwsze sety nie były jednak udane dla Polaka. Rozkręcał się powoli i w tie-breaku był już nie do zatrzymania. Zanotował w nim ponad 70-procentową skuteczność w ataku, kończąc pięć z siedmiu ataków. W całym spotkaniu zdobył 13 punktów.

ZAPRACOWANA RÓŻAŃSKI

■ Debiutująca w Japonii Olivia Różański utrzymuje wysoką dyspozycję. Jej Gunma Green Wings pokonało PFU Blue Cats 3:2 i 3:1. Polka była bardzo zapracowana. Łącznie atakowała blisko 120 razy i zdobyła w sumie 54 punkty (32 i 22). Po sześciu kolejkach jej drużyna ma 3 zwycięstwa i 3 porażki. W tabeli znajduje się na 6. miejscu. Prowadzi Himeji Victorina przed NEC Red Rockets oraz Kurobe Aqua Fairies. W lidze japońskiej nasi reprezentanci grają ze zmiennym szczęściem. Wolfdogs Nagoja, których zawodnikiem jest Norbert Huber, rywalizowali z JT Thunders i podzielili się punktami. Pierwszy mecz wygrali goście 2:3, a w rewanżu triumfowali Wolfdogs 3:0. Środkowy reprezentacji Polski zdobył w weekend łącznie 19 punktów (12 i 7) i zanotował ponad 60-procentową skuteczność w ataku.

Do gry po przerwie spowodowanej urazem, którego nabawił się podczas mistrzostw świata, wrócił Bartosz Kurek. Mocno wsparł Tokio Great Bears, lecz to nie wystarczyło do wywalczenia kompletu punktów w rywalizacji z Toray Arrows. Jego ekipa wygrała 3:2 i przegrała 1:3.

Kurek pierwszy mecz zaczął w wyjściowym składzie. Grał znakomicie. Zdobył 29 punktów i zgarnął statuetkę MVP. Rewanż już tak udany nie był. Zaczął w kwadracie dla rezerwowych, ale na parkiet wszedł już w pierwszym secie, dając krótkie zmiany. Drugi spędził w rezerwie, by w trzecim znów wejść na boisko. Został na nim do końca i był najskuteczniejszy w swoim zespole, zdobywając 16 punktów.

MOCNE PRZYJMUJĄCE

■ Dobre wieści napłynęły z Turcji. W 4. kolejce błysnęły nasze przyjmujące. Ze świetnej strony pokazały się zwłaszcza Zuzanna Górecka i Martyna Czyrniańska. Ta druga poprowadziła Kuzeyboru do pierwszego zwycięstwa (3:2) w sezonie z Goztepe. Była najlepsza na boisku. Wywalczyła 19 punktów, mając 50-procentową skuteczność w ataku i dokładność w przyjęciu. To był jej najlepszy występ w sezonie. Druga z naszych reprezentantek w Kuzeyboru Malwina Smarzek dorzuciła 9 „oczek".

Górecka natomiast pomogła Ilbankowi pokonać Aydin Buyuksehir Belediyespor Martyny Grajber-Nowakowskiej 3:1. Wywalczyła 18 punktów i świetnie radziła sobie zarówno w przyjęciu (64 procent), jak i w ataku (54 procent). Grajber-Nowakowska natomiast dla pokonanych zdobyła 17 „oczek" i był najskuteczniejsza w swojej ekipie. Pozostałe nasze reprezentantki, które rywalizują w Turcji, spisały się słabiej. Epizod zaliczyła Martyna Łukasik, a jej Galatasaray w derbach Stambułu został rozbity przez VakifBank 3:0. Ostatnia kolejka nie była udana też dla Aleksandry Rasińskiej, Julii Szczurowskiej, Agnieszki Korneluk, Magdaleny Stysiak i Weroniki Centki-Tietianiec.

W rywalizacji mężczyzn po raz drugi w ciągu kilku dni starły się Ziraat Bankasi Ankara Tomasza Fornala z Fenerbahce Stambuł Fabiana Drzyzgi i po raz kolejny triumfowali siatkarze z Ankary. W Superpucharze Turcji wygrali 3:1, w lidze 3:0, choć spotkanie było bardzo wyrównane. Dwa sety zakończyły się grą na przewagi 32:30 i 27:25. Jedynie trzeci był jednostronny (25:19). Debiutujący w lidze tureckiej Fornal zakończył spotkanie z 16 „oczkami", z których po jednym uzyskał blokiem i zagrywką.



Fot. www.legavolley.it

Kamil Semeniuk już na początku rozgrywek imponuje formą.

LAMPKOWSKA GÓRĄ

■ Emocji nie brakowało także w lidze greckiej, gdzie doszło do „polskiego" starcia pomiędzy Panathinaikosem Ateny z Moniką Lampkowską (Fedusio) w składzie, a GS Panioniosem Marleny Kowalewskiej. Mecz zakończył się zwycięstwem Panathinaikosu w pięciu setach. Bardzo dobrą dyspozycją popisała się przyjmująca reprezentacji Polski, która zgromadziła w sumie 21 punktów. W zespole Panioniosu dwoma skutecznymi zagraniami na siatce popisała się polska rozgrywająca.

(mic)

Sport 6eff6eae49

Niezłomny z niespokojną duszą

Reprezentacyjny obrońca ma bogate plany na ten sezon związane z zespołem klubowym i kadrą.

Na lodzie zadziorny, twardy, nieustępliwy i niejeden rywal miał okazję przekonać się o jego sile podczas starć pod bandami. W życiu codziennym spolegliwy, do rany przyłóż, troszczący się o rodzinę. Bartosz Ciura, bo o nim mowa, już od dłuższego czasu jest pewnym punktem i jednym z liderów defensywy Biało-czerwonych, nie wspominając o zespole klubowym. - Nie wiem, czy warto coś o mnie pisać, bo przecież w sportowym życiu nie mam wielkich dokonań, tylko kolekcję medali mistrzostw Polski – stwierdził skromnie hokeista, gdy umawialiśmy się na rozmowę.

O jedynym wyborze

Przy wyborze dyscypliny sportowej nie było żadnego przypadku. Tata Zbigniew amatorsko grał w hokeja, zaś jego kolega w rodzinnej Dębicy postanowił założyć szkółkę hokejową.

- Tata mnie zaprowadził na pierwsze zajęcia i już po nich wiedziałem, że to jest właśnie to – wspomina nasz bohater. - Teraz, po tylu latach gry nie wyobrażam sobie, by mógł się zajmować inną dyscypliną sportu. Lubię tę robotę, sprawia mi wiele satysfakcji. Początki były takie sobie, ale w miarę upływu czasu było coraz lepiej.

Młodzicy UKH Dębica w składzie z Bartkiem pojechali na mecz do Nowego Targu, kultowego miejsca dla rodzimego hokeja, 14-letni Bartek musiał mocno się wyróżniać na tle rówieśników, skoro zaproponowano mu treningi w Podhalu, pobyt w internacie oraz naukę w miejscowym gimnazjum. Latem Bartek wraz z tatą przeprowadzili wizję lokalną i przystali na warunki, ale mama, Urszula, wyraziła sprzeciw i do przeprowadzki nie doszło.

Jednak na testy do Szkoły Mistrzostwa Sportowego PZHL w Sosnowcu wybrał się z mamą. Nie był z nich zadowolony i nawet się popłakał, bo był przekonany, że wymarzona szkoła nie będzie dla niego. Jednak trenerzy byli innego zdania i mógł się uczyć i rozwijać swoje umiejętności hokejowe. Podczas egzaminów spotkał późniejszego kompana z drużyny Bartłomieja Pociechę oraz Kamila Kalinowskiego, choć ten ostatni zrezygnował ze szkoły i wrócił do Torunia. Niemniej nieco później mieli okazję reprezentować razem dwa kluby.

O klubowych dokonaniach

Po szkole trafił do GKS-u Tychy, klubu z dobrą marką oraz o wysokich aspiracjach.

- Byłem w zespole siódmym, ósmym obrońcą, w drugim sezonie mało grałem i byłem niezadowolony ze swojej roli w drużynie – dodaje sympatyczny obrońca. - Trener Jan Vdila i później Peter Krzemen nie dawali mi szans gry. Milan Baranyk umówił się na rozmowę w Oświęcimiu i pojechałem z nim. Od słowa do słowa i opuszczałem, gabinet prezesa z podpisanym kontraktem. To był fajny czas, bo zespół był młody, ambitny, zaś działacze nie wywierali presji, by walczyć o medale. W drugim sezonie zajęliśmy czwarte miejsce i wraz z Filipem Komorskim, Kamilem Kalinowskim oraz Mateuszem Bepierszczem przenieśliśmy do GKS-u Tychy.

To dla Ciury była stabilna i dłuższa przystań, bo spędził w klubie kilka sezonów okraszonych sukcesami.

- Mistrzostwa Polski, trzecie miejsce w finale Pucharu Kontynentalnego, Puchary Polski, Superpuchary, Hokejowa Liga Mistrzów – to wszystko zdobywałem z tyską drużyną – mocno akcentuje Ciura. - To dla mnie najprzyjemniejszy czas, ale najwyraźniej mam niespokojną duszę i ciągle rozmyślałem o ewentualnym wyjeździe zagranicznym. Trochę późno, bo przecież miałem swoje lata, ale wraz z Filipem Komorskim postanowiliśmy zmienić otoczenie. Pomógł nam Michal Kolař, który został agentem, a wcześniej znaliśmy się z gry w Tychach. Podpisaliśmy kontrakt we Frdyku-Mistku, w farmerskiej drużynie Ocelaři Trzyniec, z ewentualną możliwością w gry w drużynie mistrza Czech. Wystąpiłem raz, Filip trzy razy, ale zebraliśmy ciekawe doświadczenie i obaj wróciliśmy do Tychów. I znów walczyliśmy o mistrzostwo i dopięliśmy swego w minionym sezonie. W Tychach spędziłem znakomity czas, mam wiele miłych wspomnień i wraz z kolegami zaliczyłem wiele sukcesów.

O nowym miejscu

Wydawało się, że Bartek Ciura wraz ze swoimi kompanami będzie występował w Hokejowej Lidze Mistrzów w tyskiej drużynie . A tymczasem wiadomość spadła jak grom z jasnego nieba - reprezentacyjny obrońca przenosi się z Tychów do Sosnowca.

- Nie zamierzam się nad tym jakoś szczególnie rozwodzić i powiem krótko: tak wyszło – wyjawia zainteresowany. - Trochę się bałem tej przeprowadzki, ale po kilku miesiącach pobytu w Zagłębiu jestem mocno zbudowany tym, co się dzieje w klubie oraz na zewnątrz wokół hokeja. Wszystko doskonale funkcjonuje i wszyscy zainteresowani dbają o najmniejsze detale. Istna perfekcja! W letniej przerwie kadra zespołu mocno się zmieniła, ale atmosfera w szatni jest świetna. Nie ma żadnych podziałów, niesnasek i wszyscy przychodzimy do pracy z uśmiechem na twarzy. Wiemy, jakie są oczekiwania i teraz osiągnęliśmy pierwszy cel, czyli zagramy w turnieju o Puchar Polski. Jednak wszystko przed nami, bo czeka nas długa droga do sukcesu. W Sosnowcu wszyscy marzą o medalu i będziemy o niego walczyć. Moim partnerem w obronie jest Matthew Sozanski i nasza współpraca układa się dobrze, ale będzie jeszcze lepiej. Matt ma inklinacje do gry ofensywnej, więc muszę więcej uwagi poświęcać obronie.

W minioną niedzielę Ciura po raz pierwszy po przenosinach pojawił się w Tychach. - Nie ukrywam, że na początku serce mocniej zabiło, ale szybko opanowałem emocje i skupiałem się na grze – wyjawia z uśmiechem.

O reprezentacji

W Biało-czerwonych barwach zadebiutował w kwietniu 2017 r.i chwilę potem zagrał w mistrzostwach świata Dywizji 1A w Kijowie.

- Wnukom, mam nadzieje, będę wspominał turniej prekwalifikacji olimpijskiej w Kazachstanie (2020), bo nikt nam nie dawał żadnych szans – wspomina Ciura. - Trener Tomek Valtonen ustawił nas dobrze taktycznie, dzielnie się broniliśmy, potrafiliśmy z silnym Kazachami wygrać 3:2. Strzeliłem pierwszego gola, a potem mogłem się cieszyć z awansu. Nie mogłem się doczekać mistrzostw świata elity w Czechach (2024) i wiele sobie obiecywałem. A tymczasem w pierwszym meczu i już w 1. tercji złamałem palec. Przegraliśmy z Łotyszami po dogrywce, a gdy w szatni zdjąłem rękawice i zobaczyłem rękę, już wiedziałem, że turniej dla mnie się skończył. Szkoda, że opuściliśmy szeregi najlepszych, ale teraz przyjdzie nam, pod kierunkiem nowego trenera, walczyć o miejsce w elicie. Mam tylko nadzieję, że przede mną jeszcze wiele miłych chwil związanych z reprezentacją.

Synowie nie poszli w ślady taty. Starszy, Leon, biega za piłką koszykarską w GTK Gliwice, zaś młodszy, Teodor, woli ją kopać w szkółce piłkarskiej w Rudzińcu. Tata Bartosz mocno kibicuje synom, ale sam ma jeszcze bogate plany sportowe i zamierza je zrealizować.

Włodzimierz Sowiński

Bartosz CIURA – ur. 20.11.1992 r. w Rzeszowie. Żonaty z Jowitą, synowie: Leon (11 lat), Teodor (5 lat). Kluby: UKH Dębica, SMS Sosnowiec, GKS Tychy (2012-13), Naprzód Janów (2012, wypożyczenie), Unia Oświęcim (2013-15), GKS Tychy (2015-21), Frydek-Mistek/Ocelaři Trzyniec (2021-22), GKS Tychy (2022-25), Zagłębie Sosnowiec (2025-?). Sukcesy klubowe: 4 x mistrzostwo Polski (2018, 19, 20, 25), 3 x wicemistrzostwo, 3 x brąz; 5 x Puchar Polski; 3 x Superpuchar Polski; 3. miejsce w Pucharze Kontynentalnym (2016) wszystkie z GKS-em Tychy. W lidze rozegrał 656 meczów i zdobył 136 pkt (31 goli+105 asyst) i zaliczył 563 minuty kar. W reprezentacji ma 101 występów oraz 4 gole.



Fot. Mateusz Sobczak / Press Focus

Bartosz Ciura to silny punkt sosnowieckiego Zagłębia i reprezentacji.

W CIENIU DRAMATU

NHL

■ Władze Pingwinów potwierdziły, że jeden z kibiców spadł z górnego holu na trybunę i został przewieziony do szpitala. O jego dalszych losach klub nie poinformował. Kapitan i lider Pittsburgh Penguins, Sidney Crosby, w wygranym meczu z St. Louis Blues 6:3 (2:2, 1:0, 3:1) przekroczył granicę 1700 punktów. Sid One, jak jest powszechnie nazywany, zdobył gola (57 min) oraz zaliczył dwie asysty przy trafieniach Parkera Woltherspoona (27) oraz Bryana Rusta (41). Crosby w 1362 meczach osiągnął 1701 pkt (632 gole+1069 podań) i jest 9. zawodnikiem w historii ligi, który osiągnął taki wynik. 38-letni napastnik Pingwinów dołączył do Wayne'a Gretzky'ego (2857), Jaromira Jagra (1921), Marka Messiera (1887), Gordie'ego Howe'a (1850), Rona Francisa (1798), Marcela Dionne'a (1771), Steve'a Yzermana (1755) i Mario Lemieux (1723). W klubowych kronikach zajmuje 2. miejsce za tym ostatnim na liście honorowej.

Gospodarze mieli piorunujące otwarcie oraz zakończenie tej potyczki. Już w 39 sek. Rust zdobył prowadzenie, zaś 16 sek. później Anthony Mantha podwyższył na 2:0. Natomiast w 56:39 min Crobsy okazał się lepszy od Joela Hofera (20 obron), a wynik ustalił 11 sek. później Jewgienij Małkin, który posłał krążek do pustej bramki. Bramkarz gospodarzy, Tristan Jarry, miał 20 skutecznych interwencji, ale zdołali go pokonać Nick Bjugstad (50), Jordan Kyrou (16) i Mathieu Joseph. To była czwarta porażka St. Louis z rzędu. Jim Montgomery, trener gości, utyskiwał, że jego hokeiści pozostawili rywalom sporo swobody i stąd wyraźna porażka.

W tabeli prowadzą Utah i New Jersey po 16 pkt, przed Pittsburghiem – 15 oraz Colorado i Montrealem po 14.

Pittsburgh – St. Louis 6:3, Ottawa – Boston 7:2

(ws)

Sport 6eff6eae49

REMANENT

Klawo jak cholera!

Jerzy Chromik



Mądry Polak po szkodzie? A cudzoziemiec? Pozostaje głupi po... cudzoziemcu? Najpierw Iordanescu był tak przebiegły, że wystawił w pierwszym meczu nowego rozdania Ligi Konferencji drugi garnitur Legii. Przeciwko Turkom. Miał bowiem trzy dni później wygrać mecz za sześć punktów. Los bywa przewrotny. Uległ Samsunsporowi w Warszawie i przegrał w Zabrzu, ale... paradoksalnie pokonał Górnika (Szachtara), tylko tego z Doniecka, niecałe trzy tygodnie później.

Pisałem już tu, że polubiłem te piłkarskie posiłki czwartkowe. Jest miło i frapująco, prawie jak w sztuce „Kolacja na cztery ręce", tylko w tym przypadku jest to kolacja na cztery nasze zespoły klubowe. Chciałem napisać eksportowe, ale się zawahałem. W XX wieku tak je nazywano. Teraz, po porażce Lecha na Gibraltarze, po prostu nie wypada.

To trochę zastanawia, że los i kalendarz tak chcą, by nasi grali w każdej kolejce zgodnie. Albo wszyscy u siebie, albo wszyscy na wyjeździe. Tylko Legii ułatwiono zadanie, bo dostała zaproszenie nie do Doniecka, a do Krakowa. 253 km. AbsurDB podał na X, że nie była to jednak najkrótsza podróż polskiego zespołu na mecz w europejskich pucharach. Przed 54 laty wałbrzyskie Zagłębie miało w linii prostej do Teplic tylko 174 km. Każda ciekawostka po blamażu z Lincoln Red Imps na Victoria Stadium koi smutek, bo uświadamia raz jeszcze życiową prawdę, że zawsze może być lepiej, ale też zawsze można mieć gorzej. Takiemu Augustyniakowi wyjdą dwa strzały życia i nikt nie pamięta, że Rajović z Danii szwenda się po boisku już ponad pięć godzin i nawet trudno go tak trafić w głowę, by był gol. A przecież taki Pekhart był w powietrzu o wiele groźniejszy i zdobywał bramki.



Fot. Tomasz Jastrzębowski / Press Focus

Od 65 minuty meczu Legii z Lechem wyglądało to tak, że bardzo dbano o wynik wyjściowy.

A skoro już jesteśmy przy Duńczykach. Pewnie nigdy nie uwolnię się od zabawnych filmów z serii „Gang Olsena". Śmieszą za każdym razem. Poznański Lech miewa też coś z tamtych obrazów. Oto taka trupa Nielsa Frederiksena napadnie udanie na wiedeński bank, by niedługo potem wpaść przy nieudolnej kradzieży punktów w muzeum Lincolna.

Klawo jak cholera! Ten przewrotny okrzyk wrócił jak bumerang po końcowym gwizdku sędziego, który dbał, by „gang Nielsa" nie przegrał, dał im karnego. Nie mógł już jednak anulować drugiego gola gospodarzy. VAR bowiem czasami nie śpi. Jak licho.

Chłopaki z Gibraltaru w jeden wieczór zarobili dla klubu 20 procent rocznego budżetu. Zagrali prawie tak, jak w ulubionym dowcipie Jana Tomaszewskiego o prezesie. O pełną pulę. Ten anegdotyczny z kawału Janka był właścicielem tartaku, bez kilku palców i zawsze powtarzał podwładnym, że w najbliższym meczu grają o całą stawkę i podnosił na znak poparcia obietnicy okaleczoną dłoń.

A propos. Wyczytałem gdzieś, że bramkarz Lincolna to stolarz z zawodu i stracił kiedyś dwa palce. Aha. I jeszcze jedno. Mecz mistrza Polski na Gibraltarze wyglądał trochę jak spotkanie na Orliku. Za jedną z bramek przemieszczały się tam śmieciarki z pomarańczowymi światłami. Od razu przypomniały mi się frazy z repertuaru komentatorów. Te o „zbieraniu drugich i trzecich piłek". Co mogli tam robić pracownicy miejscowego MPO? Pewnie zbierali te niepotrzebne, bo przecież jedna do gry wystarcza.

W niedzielę poznaniacy, także ci adoptowani, wyszli przy Łazienkowskiej już na galowo. Wiadomo, mecz z Legią zawsze ich zobowiązuje. Lech nie dał więc sobie tym razem strzelić gola. Legii w tym stanie rzeczy też za bardzo nie wypadało, więc 0:0 zadowoliło obie strony. Od 65 minuty wyglądało to tak, że bardzo dbano o wynik wyjściowy.

Komentatorzy często przekonują nas, że ktoś na jakimś stadionie coś stracił. A to nieprawda, bo za samo wyjście na boisko każda drużyna dostaje po punkcie. I jak tego dopilnuje, to ma lepiej niż Lech na Gibraltarze.

Iga wyjdzie jako pierwsza

Amanda Anisimova i Madison Keys oraz Jelena Rybakina będą grupowymi rywalkami Polki w turnieju WTA Finals.

TENIS

Impreza rozgrywana na kortach twardych z udziałem ośmiu najlepszych tenisistek sezonu 2025 rozpocznie się w sobotę w Rijadzie w Arabii Saudyjskiej. Iga Świątek, obecnie wiceliderka światowego rankingu, była rozstawiona w losowaniu z numerem 2, co oznaczało, że w pierwszej fazie uniknie numeru jeden, Białorusinki Aryny Sabalenki. Los w grupie „Sereny Williams" przydzielił Polce czwartą w światowym rankingu Amerykankę Amandę Anisimovą, szóstą na liście WTA reprezentantkę Kazachstanu Jelenę Rybakinę oraz kolejną z czterech tenisistek USA w stolicy Arabii Saudyjskiej, Amandę Keys (7. WTA).

Natomiast w grupie „Steffi Graf" wystąpią – oprócz Sabalenki – Amerykanki Coco Gauff i Jessica Pegula oraz Włoszka Jasmine Paolini.

Inauguracja z Keys

Od soboty do czwartku (1-6 listopada) potrwają mecze w grupach każda z każdą, do półfinałów awansują po dwie najlepsze tenisistki – te odbędą się w piątek 7 listopada, a dzień później rozegrane zostaną finały – ten singlowy nie przed 17.00 czasu w Polsce.



Fot. instagram.com/iga.swiatek/

Jedyna Polka w Rijadzie wtorek miała „relaksacyjny", ale im bliżej soboty, tym pewnie grafik będzie coraz bardziej napięty...

Świątek rozpocznie rywalizację grupową od meczu z Keys już w sobotę – nie przed godziną 16.00. Będzie to pierwsze singlowe spotkanie w turnieju.

W Rijadzie rywalizować będzie też osiem najlepszych par deblowych. Pula nagród wyniesie 15,5 mln dolarów, z czego 12,4 mln zarobią singlistki. Jeśli zwyciężczyni singlowych zmagań wygra wszystkie pięć spotkań, wówczas otrzyma nagrodę w wysokości 5,235 mln dolarów oraz „zaksięguje" 1500 punktów do rankingu. Od pewnego czasu wiadomo już natomiast, że bez względu na końcowe rozstrzygnięcia Sabalenka utrzyma do końca roku pozycję numer 1. Świątek może jedynie zmniejszyć straty wynoszące dziś 1675 punktów.

Spacer i fotki

Polka już od kilku dni jest już w Rijadzie; w mediach społecznościowych zamieściła zdjęcia ze spaceru po mieście, we wtorek robiła m.in. zdjęcia gołębiom, w poniedziałek zaś trenowała z Anisimovą.

Ze swoją rówieśniczką (Amerykanka jest młodsza dokładnie o trzy miesiące) raszynianka ma oficjalny bilans 1-1. Oba mecze odbyły się w tym roku – najpierw Iga rozgromiła Amandę 6:0, 6:0 w finale Wimbledonu, a następnie Amerykanka zrewanżowała się w ćwierćfinale US Open, wygrywając 6:4, 6:3.

Z Rybakiną 24-letnia tenisistka z Raszyna wygrała dotychczas sześć meczów i przegrała cztery. W tym roku spotkały się czterokrotnie i za każdym razem lepsza była Polka.

Natomiast jej bilans z Keys wynosi 5-2. Szczególnie bolesną porażkę Świątek poniosła w styczniu tego roku w półfinale Australian Open. Keys poszła za ciosem i w finale w Melbourne pokonała Sabalenkę.

Tytułu broni Coco

Prestiżowy turniej masters po raz drugi z rzędu odbędzie się w stolicy Arabii Saudyjskiej. Przed rokiem imprezę WTA Finals wygrała Gauff. Świątek triumfowała w 2023 roku w meksykańskim Cancun, w 2015 w Singapurze zwyciężyła Agnieszka Radwańska.

Tomasz Mucha

GRUPY

■ GRUPA Sereny Williams
Iga ŚWIĄTEK (Polska, 2)
Amanda Anisimova (USA, 4)
Jelena Rybakina (Kazachstan, 6)
Madison Keys (USA, 7)

■ GRUPA Steffi Graf
Aryna Sabalenka (Białoruś, 1)
Coco Gauff (USA, 3)
Jessica Pegula (USA, 5)
Jasmine Paolini (Włochy, 8)

Z KORTÓW

KAWA CZEKAŁA

■ Mecz Katarzyny Kawy z rozstawioną z nr 5 Włoszką Lucią Bronzetti w 1. rundzie turnieju WTA 250 w Chennai w Indiach został przełożony na środę. Z powodu opadów deszczu nie rozegrano do wtorku żadnego spotkania. Będzie to pierwszy bezpośredni mecz obu zawodniczek. 32-letnia Polka klasyfikowana jest na 126. miejscu w rankingu. O sześć lat młodsza reprezentantka Italii zajmuje 105. pozycję na liście WTA. Zwyciężczyni tego pojedynku w 2. rundzie zagra z lepszą z Rosjanek, Poliną Jacenko lub Aliną Czarajewą.

W roku 2022 w finale turnieju Magda Linette przegrała z Czeszką Lindą Fruhvirtovą 6:4, 3:6, 4:6.

KUZYNI – ODCINEK 2

■ Valentin Vacherot i Arthur Rinderknech ponownie zmierzą się ze sobą na korcie. Finaliści imprezy w Szanghaju, a prywatnie kuzyni, tym razem w środę staną naprzeciw siebie w 2. rundzie halowego turnieju ATP 1000 w Paryżu. Vacherot, który pokonał Francuza Rinderknecha w Chinach, został pierwszym zawodnikiem z Monako, który zdobył tytuł ATP. Jednocześnie został najniżej notowanym tenisistą, zwycięzcą turnieju ATP 1000 – był na 204. pozycji, a po sukcesie w Szanghaju awansował aż na 40. miejsce. We wtorek w 1. rundzie w stolicy Francji pokonał rozstawionego z nr 14 Czecha Jiriego Leheckę 6:1, 6:3. – Żyję jak w bajce... dlatego gram tak dobrze, cieszę się każdą sekundą – powiedział Vacherot.

Rinderknech, który podobnie jak jego kuzyn otrzymał do turnieju „dziką kartę", pokonał dzień wcześniej Węgra Fabiana Marozsana 7:6 (7-5), 7:6 (7-4). Vacherot przyznał, że jest dumny z tego, jak Rinderknech zagrał przeciwko Marozsanowi. – To był bardzo trudny mecz przeciwko Fabianowi... Jestem po prostu niesamowicie podekscytowany kibicami, rodziną. Będziemy się ponownie cieszyć naszą rywalizacją – podsumował.

Sport 6eff6eae49

Gdy pokazałeś, co potrafisz

Rozmowa z **Krzysztofem Klimkiewiczem**, nowym mistrzem Polski w dżudo



Fot. archiwum rodzinne

Kiedy masz swój ulubiony uchwyt, to droga do zwycięstwa jest krótsza – mówi Krzysztof Klimkiewicz (z lewej).

KRZYSZTOF KLIMKIEWICZ

Rocznik: 2003
Kategoria: 66 kg
Kluby: UMKS Żak Kielce, AZS AKF Kraków
Sukcesy: mistrzostwo Polski seniorów (2025), mistrzostwo Polski młodzieży (2025), trzecie miejsce w Pucharze Europy (2024), trzecie miejsce w Pucharze Europy juniorów (2022, 2023), brązowe medale MP seniorów (2021, 2023), mistrzostwo Polski juniorów (2023), wicemistrzostwo Polski juniorów (2022), piąte miejsce w mistrzostwach Europy U-23 (2024)

Kilkanaście dni temu zdobył pan mistrzostwo Polski. Czy to cokolwiek zmienia w pańskim życiu?

– Nic. Trenuję dżudo, od kiedy pamiętam. Jego uprawianie nauczyło mnie samodyscypliny. Wiem, że wstanę i będę ćwiczył – nawet kiedy inni nie są w stanie tego zrobić... Dżudo pokazuje mi więc, ile mogę, pokazuje, że nie jestem słaby. Daje mi więc pewność siebie. Nie ma znaczenia, czy to mistrzostwo Polski bym wygrał, czy je przegrał, nadal bym to robił. Ale to na pewno duże osiągnięcie dla mnie. Byłem już mistrzem Polski juniorów, niedawno zostałem mistrzem Polski młodzieży, a teraz pierwszy raz seniorów.

Jaka jest różnica między mistrzem wśród juniorów a mistrzem wśród młodzieży?

– To kategorie wiekowe. Junior jest do 21. roku życia, młodzieżowiec do 23. Oczywiście cieszę się z sukcesów, ale nie mam potrzeby się pompować na zewnątrz. Cieszę się, bo spełniam się i jest to dla mnie ważne.

Dżudo wymaga wyrzeczeń?

– Trzeba być konsekwentnym. Na obozach kadry wstaję około 6.30, rozruch, luźny bieg, śniadanie. Potem trening – albo siłowy, albo kondycyjny. Po obiedzie już treningi na macie – same walki, które dają najwięcej. Kiedy do startu jest niedaleko, treningi są lżejsze, wcześniej jednak dużo ostrzejsze, bardziej fizyczne, gdy szlifuje się wytrzymałość i doprowadza do wysokiego tętna. I wspomniane walki – dżudoka na poziomie zaawansowanym już tylko podczas nich jest w stanie się nadal rozwijać. Sam trenuję od 16 lat, więc techniki mam mniej więcej opanowane. Jednak technika robiona w miejscu, a podczas walki to zupełnie co innego. Każdy przeciwnik jest inny, to nie jest jak na zajęciach z techniki, gdzie partner da ci się rzucić bez protestu. Trzeba czuć, znaleźć najlepszy moment na wykonanie rzutu. Dlatego podczas walk najlepiej szlifuje się też timing.

A czy w dżudo – jak w piłce nożnej – istnieje bank informacji? Przed walkami nabywacie wiedzy na temat przeciwników, dostajecie informacje, jakie są ich mocniejsze czy słabsze strony?

– Mamy takie informacje. Na oficjalnej stronie IJF (International Judo Federation – przyp. aut.) są filmy z walk podczas turniejów międzynarodowych. Z nich można wywnioskować, co nasz przeciwnik lubi, co preferuje, a czego nie.

> *W tym sporcie wystarczy sekunda nieuwagi i przegrywa się nie tylko zawody. Wiele tygodni pracy, a także zbijania wagi, idzie na marne. Dżudo wymaga wyrzeczeń... Walka może trwać pół godziny, a może trwać dziesięć sekund. Wystarczy, że ktoś trafi w moment i jest po wszystkim. Wtedy zdarzają się te kryzysy i pojawiają się pytania: „Czy to jest tego warte, po co ja się tak zamęczam”...*

Taktyka pod konkretnego rywala jest szczegółowo przygotowywana czy wszystko wychodzi w „praniu”?

– Czasem jest taka taktyka, bo trafiają się przeciwnicy, którzy są bardzo niebezpieczni na początku walki, ale potem bardzo szybko tracą energię. Wtedy trener mówi: „Przeczekaj, przytrzymaj go na uchwycie, niech się wystrzela ze wszystkiego. A jak się wystrzeli, to wtedy go zajedziesz”. W dżudo jest jednak bardzo wiele różnych stylów, rzeczywiście każdy przeciwnik jest jedyny w swoim rodzaju. Niektórzy od początku bardzo agresywni, inni z kolei bardzo spokojni.

A pan? Wygląda mi pan na spokojnego...

– A jestem właśnie zawodnikiem... niespokojnym (uśmiech). Jestem agresywny i preferuję bardzo dużo ataków. Polegam na mojej szybkości, to mój atut. Atak za atakiem, atak za atakiem... W przeszłości zdarzało się, że mnie to gubiło, gdy za szybko chciałem zaatakować. Zdarzało się więc przegrać, gdy ktoś mnie skontrował albo dusił. Nie zmieniłem jednak stylu – jestem zawodnikiem, który dużo atakuje i wymęcza przeciwnika.

Mówi pan, że w zasadzie trenuje, od kiedy pamięta. Ale musi pan wiedzieć, jakie były początki...

– Wersje są dwie (uśmiech). Moja wersja jest taka, że zanim rozpocząłem treningi dżudo, chciałem grać w piłkę nożną. Jednak w mojej rodzinnej miejscowości nie było klubu piłkarskiego, więc rodzice zapisali mnie na... taniec towarzyski, wspólnie ze starszą siostrą. Miałem wtedy pięć lat. Zaparłem się jednak: stwierdziłem, że nie będę tańczyć, nie chcę tego robić i już. Niedaleko były treningi dżudo i stwierdziłem, że tam chcę pójść. Poszedłem i zostałem. Druga wersja jest rodziców. Na jakimś grillu ciągle miałem biegać, kopać krzaki. Kolega taty miał wtedy stwierdzić, że warto mnie zapisać na dżudo, bo wtedy się wyżyję...

Dżudo to bardzo trudny do uprawiania sport, trzeba liczyć się z mnóstwem wyrzeczeń. Kryzysy się zdarzały?

– Owszem. Zdarzyło mi się nawet, że na moment rzeczywiście z dżudo zrezygnowałem, odszedłem jako nastolatek. Zacząłem wtedy trenować piłkę. Jednak nie wytrzymałem długo bez dżudo. Po roku wróciłem ze świadomością, że to właśnie chcę robić. Kryzysy są jednak wpisane w drogę zawodnika. Zdarza się, że są częste – zwłaszcza u kogoś, komu zależy i rzeczywiście się stara. Wie, że daje z siebie wszystko, że jest na każdym treningu, a później coś nie wychodzi, bo czasem tak właśnie jest... W tym sporcie wystarczy sekunda nieuwagi i przegrywa się nie tylko zawody. Wiele tygodni pracy, także zbijania wagi, idzie na marne... Dżudo wymaga wyrzeczeń. Jest takim sportem, że walka może trwać pół godziny, a może trwać dziesięć sekund. Wystarczy, że ktoś trafi w moment i jest po wszystkim. Wtedy zdarzają się te kryzysy i pojawiają się pytania: „Czy to jest tego warte, po co ja się tak zamęczam”... Ja już wiem, że to jest tego warte, ale do tego stanu trzeba dojść własną drogą, często trudną. Załamywanie się nic nie daje.

A jak się pan czuł po zdobyciu mistrzostwa Polski?

– Gdy człowiek wraca z zawodów busem albo leży zmęczony w hotelu, to... uśmiecha się sam do siebie! Z jednej strony wszystko cię boli, twarz poobdzierana, ale z drugiej, gdy patrzysz na medal, to wiesz, że zrobiłeś dobrą robotę, że pokazałeś, co potrafisz. To wspaniałe uczucie.

Polski świat dżudo jest duży? Może nagle pojawić się ktoś, kogo nie znaliście wcześniej, i zadziwi talentem i możliwościami?

– Nie, raczej nie. W Polsce świat dżudo nie jest – delikatnie mówiąc – duży, dlatego się znamy. Inaczej niż w kilku innych krajach, choćby we Francji, gdzie to sport bardzo popularny i zawodników jest mnóstwo. Dlatego zawodników ze swojej kategorii w Polsce znam. Czasem się pojawiają młodsi, utalentowani, to normalne. Ale żeby nagle wyskoczył ktoś z mojego rocznika, nieznany wcześniej – to się nie zdarza. Ba; wielu z moich rywali znam od dziecka, rośliśmy razem. Ciekawe jednak, że niektórzy zawodnicy, z którymi biłem się kiedyś, są dziś o wiele ode mnie więksi, albo też ... mniejsi – po prostu nie rośli w tym tempie co ja. Walczę w kategorii do 66 kg, niżej jest tylko jedna, do 60 kg, i kilku kolegów – a jeden, bardzo zdolny, z którym często się biłem dawniej – już w niej pozostało. A inni, z którymi biłem się za dzieciaka, są teraz z kolei w kategorii do... 100 kg (uśmiech).

Co jeszcze w tym roku?

– Sezon się kończy. Został mi ostatni start: Puchar Świata w Wenecji. Potem chwila przerwy i wylot na treningi do Japonii.

Dla dżudoki taka możliwość to pewnie wielka sprawa.

– To prawda. Byłem tam pięć razy i ciągle jestem pod wrażeniem. Tam jest kompletnie inny system treningowy niż w Polsce. Oni za dziecka przede wszystkim uczą się cały czas techniki, a mniej więcej od 15. roku życia już cały czas ze sobą walczą. W Polsce nie dałoby się zrobić takiego systemu, bo obecnie zbyt mało osób trenuje u nas dżudo.

Dżudo daje pewność w życiu codziennym?

– Nie myślę o tym w ten sposób. Nigdy nie myślałem, żeby wykorzystać własne umiejętności na ulicy. Wiem, że potrafię i tyle. Zdarzało się, że byłem gdzieś z kolegami, którzy nie uprawiają dżudo, a oni śmiali się: „Trzeba wykorzystać, że tu jesteś”. To oczywiście żarty. Poza tatami nie chcę się bić, mógłbym zrobić komuś krzywdę i narobić sobie problemów. Nawet przypadkiem mógłbym komuś zrobić krzywdę – upadając, mógłby źle podeprzeć się ręką i ją złamać. Albo ktoś wyjmie nóż... Po co ryzykować karierę, by komuś

Sport 6eff6eae49

z, nieważne, że cię boli

Tu wszystko odbywa się na pełnym spięciu, trzeba robić wszystko na maksa. Kiedyś po minucie dogrywki zdarzyło mi się wymiotować po walce z wysiłku. Tak więc w dżudo pozory mylą. Zapewniam: cztery minuty walki to bardzo dużo.

Fot. archiwum Krzysztofa Klimkiewicza



Na podium mistrzostw Polski z nowym trenerem. Obecnym szkoleniowcem Krzysztofa Klimkiewicza jest Hiszpan Alexis Rosa Moya.



Na podium mistrzostw Polski młodzieży do lat 23 (drugi z lewej) jako zwycięzca, razem z pozostałymi medalistami. Drugie miejsce zajął Igor Petryka, a dwa trzecie Adam Chryścina i Eryk Zdanowski.

coś zupełnie niepotrzebnie udowadniać?

Czy w pańskiej kategorii jest jakiś szczególnie utalentowany zawodnik na świecie, który pochodzi z kraju, gdzie dżudo nie jest powszechne i robi na panu wrażenie?

– Jest taki jeden, w tej chwili nr 1 rankingu światowego. To obecny brązowy medalista mistrzostw świata, Mołdawianin Denis Vieru. Bardzo lubię go oglądać. Lubię jego styl, ważny u niego jest spokój i taktyka. Poza nim świetny jest też Japończyk Hifumi Abe, który dwa razy zdobył mistrzostwo olimpijskie, w Tokio i Paryżu. Przez pięć lat nie przegrał walki, dopiero na ostatnich mistrzostwach świata zdobył brąz. Jego siostra, Uta Abe, też jest mistrzynią olimpijską z Tokio. Francuzi? Dobry jest Walide Khuar, piąty na igrzyskach. Klasę prezentują też Willian Lima z Brazylii i Waza Margwelaszwili z Gruzji. Oni wszyscy są świetni, to top w tej kategorii. W mojej wadze jest wielu dobrych zawodników. Nie jest tak, że jedynie trzech robi wyniki. Muszę wspomnieć o jeszcze jednym niezwykłym zawodniku. To Japończyk Joshiro Maruyama. Też niepokonany; razem z Abe szli tak niepokonani przez wiele lat. Mogli przegrać, tylko walcząc ze sobą, bilans był 3:3. A przecież w dżudo tylko jeden zawodnik może reprezentować dany kraj w konkretnej kategorii.

Lubili się?

– Widziałem podczas transmisji, że się szanowali, ale jednocześnie... spod byka patrzyli na siebie (uśmiech). Japoński związek nie wiedział, którego z nich ma wysłać na ostatnie igrzyska. Dlatego zorganizował niezwykłą walkę w miejscu, gdzie powstało dżudo – Kodokan (najstarsza i największa szkoła dżudo na świecie, mieszcząca się w Tokio – przyp. aut). Nie było widowni; jedynie ich dwóch, kamera, sędziowie i trenerzy. Cisza na sali i w efekcie niesamowita walka. Ta cisza zrobiła niezwykłą atmosferę. Walka dżudo regulaminowo trwa cztery minuty. Oni bili się cztery minuty plus dwadzieścia pięć minut dogrywki, tak zacięty to był pojedynek. W końcu wygrał Abe. Ten drugi płakał, nie był w stanie mówić i... skończył karierę. Pojechał jeszcze tylko na mistrzostwa świata, żeby je wygrać, i odszedł.



Fot. archiwum Krzysztofa Klimkiewicza

Dżudo to ciężka praca, wynagradzają je udane chwile. Pamięta się je i przeżywa długo.

Walka trwa cztery minuty. Komuś mogłoby wydawać się, że to krótko, ale to złudzenie.

– Cztery minuty potrafią zabić. Przypomnę, że walka w razie potrzeby jest zatrzymywana. Wszystko odbywa się na pełnym spięciu, trzeba robić wszystko na maksa. Nie można, jak w boksie, pochodzić sobie, łapać dystans, tutaj cały czas jesteś w akcji. To wyczerpujące. Czasem toczę ciężką walkę. Oddech przyśpiesza, patrzę na zegar: ile minęło? Wydaje mi się, że walka trwa długo, a tu ledwie półtorej minuty, oj (uśmiech). Oglądałem ostatnio w ramach analizy własną walkę półfinałową w mistrzostwach Polski. W pewnym momencie było trzymanie. Zastanawiałem się, jak długo trzymam rywala, wydawało mi się, że rzeczywiście długo. A potem okazało się, że to...

Moje marzenie to zostać mistrzem olimpijskim. To był zawsze mój główny cel i nadal jest.

dziesięć sekund (uśmiech). Kiedyś po minucie dogrywki zdarzyło mi się wymiotować po walce z wysiłku. Tak więc w dżudo pozory mylą. Zapewniam: cztery minuty walki to bardzo dużo.

Czasem o rezultacie walki decyduje szczegół. Na czym polega błąd w dżudo?

– Jest wiele rodzajów błędów. Choćby niedokręcenie ciała przy rzucie. Sam rzut jest końcem walki. Ale najważniejsza jest walka o uchwyt. Kiedy masz swój ulubiony uchwyt, to droga do zwycięstwa jest krótsza. Dlatego błędem jest też oddanie uchwytu. Długo by można o tym mówić...

Marzenia?

– Zostać mistrzem olimpijskim. To był zawsze mój główny cel i nadal jest. Celem jest start w najbliższych igrzyskach. Żeby to osiągnąć, muszę być w top 30 rankingu światowego. Nie trzeba być wcale krajowym mistrzem. Żeby być wysoko w rankingu, trzeba brać udział w turniejach IJF World Tour – Grand Prix i Grand Slam. Z tych turniejów punkty trafiają do rankingu światowego. Mistrzostwa Europy nie liczą się do niego, bo organizuje je inna federacja – European Judo Union. Muszę się przebić przez te turnieje, na razie mam jeden medal z Pucharu Europy, ale nie mam z Pucharu Świata. Tam muszę się pokazać, wygrywać walki, żeby wiedzieć, że mogę robić wyniki na Grand Prix, Grand Slam, a nie jechać po to, żeby przegrać. Wiele osób tam jeździ często, nie mogą się przebić i to na pewno niszczy pewność – gdy się jeździ i cały czas przegrywa.

Rozmawiał Paweł Czado

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 29 PAŹDZIERNIKA

TVP SPORT
12.55 Pn: mecze 2. rundy STS Pucharu Polski, Hutnik Kraków – Wisła Kraków, 17.25 Widzew Łódź – KGHM Zagłębie Lubin, 20.25 Raków Częstochowa – Cracovia (na żywo)

POLSAT SPORT 1
11.00 Tenis: turniej ATP w Paryżu, 17.30 Siatkówka: PlusLiga, ZAKSA Kędzierzyn-Koźle – Aluron CMC Warta Zawiercie, 20.30 Cuprum Stilon Gorzów – PGE GiEK Skra Bełchatów, 1.25 Pn: Copa Libertadores, mecz półfinałowy Racing Club – Flamengo Rio de Janeiro (na żywo)

POLSAT SPORT 2
17.00, 21.00 Tenis: turniej ATP w Paryżu, 18.50 Koszykówka, Euro Cup, Śląsk Wrocław – Umana Reyer Wenecja (na żywo)

POLSAT SPORT 3
18.25 Koszykówka: FIBA Europe Cup, PGE Start Lublin – UCAM Murcia, 20.40 Pn: Liga szkocka, Hibernian – Rangers FC (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 1
18.25 Pn: liga włoska, AS Roma – Parma, 20.40 Inter Mediolan - Fiorentina (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
17.30 Siatkówka: PlusLiga, ZAKSA Kędzierzyn-Koźle – Aluron CMC Warta Zawiercie, 20.30 Cuprum Stilon Gorzów – PGE GiEK Skra Bełchatów (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 4
20.10 Koszykówka: Euroliga, Olympiakos Pireus – AS Monaco (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
11.00 Tenis: turniej ATP w Paryżu (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
11.00 Tenis: turniej ATP w Paryżu (na żywo); 20.40 Koszykówka: Euro Cup, BAXI Manresa – Bahcesehir College Stambuł (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
18.25 Pn: Liga włoska, Juventus Turyn – Udinese, 20.40 Puchar Niemiec, 1. FC Koeln – Bayern Monachium (na żywo)

ELEVEN SPORTS 2
18.25 Pn: liga włoska, AS Roma – Parma, 20.40 Inter Mediolan - Fiorentina (na żywo)

ELEVEN SPORTS 3
17.55 Pn: Puchar Niemiec, Paderborn 07 – Bayer 04 Leverkusen, 20.40 Liga włoska, Bologna – Torino (na żywo)

ELEVEN SPORTS 4
18.55 Pn: Liga francuska, Lorient – PSG, 21.00 Olympique Marsylia – Angers (na żywo)

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dziennik sport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Bogdan Nather



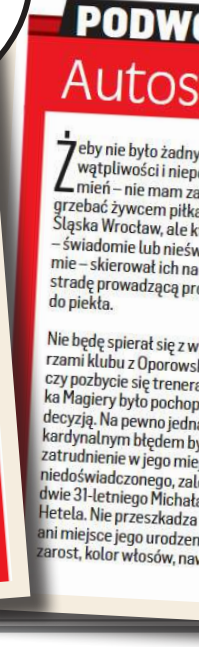
1961-2025


Bogdan Nather
Ligowiec
oraz częściej przekonujemy się na własnym podwórku, że brak koncentracji w końcowych fragmentach meczu miewa opłakane skutki. Niegdyś gole zdobywane w doliczonym czasie gry były zarezerwowane wyłącznie
Przeklęte końcówki
dla czołowych lig zachodnioeuropejskich, tudzież europejskich pucharów, ze szczególnym uwzględnieniem Ligi Mistrzów.
Teraz w polskiej ekstraklasie szydło też powoli wychodzi z worka, a bramki zdobywane w samych końcówkach decydują nie tylko o zdobyciu bądź utracie punktów, ale również mają wpływ na notowania trenerów w ga-


Bogdan Nather
Z drugiej strony
W lutym 1968 roku jako młody chłopak razem z ojcem oglądałem w telewizji mecz Górnika Zabrze z Manchesterem United w Pucharze Europy Mistrzów Krajowych. Chociaż sercem byłem za Hubertem Kostką i jego kolegami, to
Zatrzymać antychrysta
ogromne wrażenie zrobiła na mnie gra jedenastki z Old Trafford. Bramkarz Górnika dokonywał cudów w bramce, ale „Czerwone diabły" i tak wygrały u siebie 2-0.
Przed tym spotkaniem przeczytałem w „Sporcie" wypo-


Bogdan Nather
Ligowiec
Inne bajki
Sędzia też człowiek i ma prawo popełniać błędy, problem polega jednak na tym, że konsekwencje jego pomyłek ponoszą inni - piłkarze, a nierzadko również trenerzy, tracąc posadę. Jeżeli pracownik w jakimś zakładzie pracy odwali fuszerkę zamiast solidnie wykonać robotę, może zapomnieć o premii. Jeżeli uchybienie jest dużego kalibru i przynosi konkretną stratę finansową pracodawcy, delikwent musi liczyć się nawet z tym, że dostanie po kieszeni.
A polski sędzia? W skeczu kabaretu „Dudek" pod tytułem „Ucz się Jasiu" albo „Majster" wyszło czarno na białym, że petent może panu majstrowi „skoczyć". Skończmy jednak z kabaretem i przejdźmy do rzeczy poważnych. Otóż polscy sędziowie w pewnym sensie są nietykalni i nie ponoszą rzeczywistych konsekwencji za swoje grzechy. Bo brak obsady przez kilka kolejek - po tego straszaka sięga się jednak bardzo rzadko - to nie jest kara adekwatna do tego, jakie ciągi zbierają piłkarze i trenerzy. Przegrywając mecze (lub ich nie wygrywając) wskutek błędów rozjemców, tracą pieniądze, posadę, cierpi na tym ich wizerunek.
Absolutnie nie namawiam do nagonki na polskich arbitrów, rozumiejąc, że pomyłki zdarzają się każdemu, nawet najlepszym. Ale jest grupa sędziów, która na miejsce w ekstraklasie po prostu nie zasługuje. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, by zorientować się, kto najbardziej fałszuje. Ci panowie regularnie „dają popalić", niweczą jakość widowiska i wprowadzają nerwową atmosferę na boisku, ławce rezerwowych i trybunach. Myślę, że szefostwo Kolegium Sędziów otworzy w końcu szeroko oczy i podejmie zdecydowane kroki, by tylko incydentami, a n pewnego rodzaju norm Naprawdę, da się to zm bić.
Od błędów nie są wol również piłkarze, lecz n również ciężko przyzna się do błędów. Bramkar stołecznej Polonii, Sebastian Przyrowski, na sumieniu gola, któ go jego drużyna straci w dołączonym czasie g z Wisłą Kraków. Jego kl sprawił, że „Czarne ko szule", zamiast wzbogac się o jeden punkt, zostali z pustymi rękami. Jeże reprezentacyjny golkiper po takim „numerze" spo dziewał się oklasków ki ców, to chyba żyje w inn bajce. Jako doświadczo ny zawodnik w ogóle ni powinien reagować n ich gwizdy, czy słowne zaczepki. A pokazując f środkowy palec unieso ny w górę, wystawił so bie najgorsze z możliwyc świadectwo. A może jego miejsce jest na trybunach, w „młynie"?


Z DRUGIEJ STRONY
Bogdan Nather
Seppuku po polsku
Spokojna czaszka, nie zamierzam apelować do Bóg wie kogo o ukrzyżowanie Michała Probierza. Selekcjoner reprezentacji Polski ma swoje za uszami, tzn. podjął mnóstwo błędnych decyzji natury personalnej (tącznie z powierzeniem funkcji team menedżera Łukaszowi Gawrjołkowi), od których głowa boli. Co gorsza, nie wyciągnął z nich wniosków albo wyciągnął niewłaściwe. Najwyższy zatem czas,


PODW
Autos
Żeby nie było żadny wątpliwości i niep mień – nie mam za grzebać żywcem piłka Śląska Wrocław, ale k – świadomie lub nieś mie – skierował ich na stradę prowadzącą pr do piekła.
Nie będę spierał się z w rzami klubu z Oporowsk czy pozbycie się trenera ka Magiery było pochop decyzją. Na pewno jedn kardynalnym błędem b zatrudnienie w jego mie niedoświadczonego, zal dwie 31-letniego Michała Hetela. Nie przeszkadza ani miejsce jego urodzen zarost, kolor włosów, na

Sport 6eff6eae49









Dziękuję! Za wszystko!

Czy wiecie, czym różnią się od siebie granatniki Panzerfaust i Carl Gustaf? Nie? A Bogdan Nather to wiedział...

Miałem poczucie, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Nigdy nie udało mi się Go niczym zaskoczyć, ponieważ Jego umysł chłonął wiedzę jak gąbka. Znał się na sporcie, na militariach, na polityce, na filmach, na muzyce, na książkach. Codziennie robiła na mnie wrażenie Jego wiedza. Bogdan czytał namiętnie wszystko, co wpadło mu w ręce. Czytał, zbierał najciekawsze informacje, tekściki, a później je zapamiętywał i wykorzystywał, żeby opowiadać żarty lub ciekawostki. Książki wręcz „połykał". Kiedyś poprosił mnie, abym zamówił mu 10 tomów serii Jack Reacher. Zamówienie odebrał, po czym zadzwonił do mnie za dwa tygodnie, żebym zamówił Mu kolejne 10 książek z serii, bo już Mu się kończą strony do przeczytania.

Miał nieprawdopodobną zdolność do wywoływania uśmiechu u swoich rozmówców. W grudniu 2023 roku przechodziłem przez trudny okres. Poszedłem wtedy na mecz Zagłębia Sosnowiec z Chrobrym Głogów. Zagłębie przegrało 1:2. Ledwo wyszedłem ze stadionu i zadzwonił do mnie Bogdan, który wiedział o moich problemach i o tym, że byłem na meczu. Sam oglądał spotkanie w telewizji. „Powiem ci, młody człowieku, że obrońcy Zagłębia na boisku wyglądają jak faceci z anoreksją" – usłyszałem w słuchawce. I choć nie był to Jego szczyt możliwości komediowych, rozbawił mnie wówczas do łez. Przede wszystkim dlatego, że miał rację – naprawdę wyglądali jak faceci z anoreksją. I choć powiedział prawdę, którą wszyscy na stadionie widzieli, nikt poza Nim nie potrafiłby wymyślić tak zgrabnego porównania, które doskonale podsumowało mecz. Miał piękny umysł. Jednym słowem lub zdaniem sprawiał, że zapominało się o bolączkach, a chciało się śmiać. Rzadko się więc z Bogdanem smuciłem, raczej turlałem ze śmiechu.

Gdy w 2019 roku po raz pierwszy pojawiłem się w redakcji „Sportu", był dla mnie „panem redaktorem", który budził postrach, wywieszając na ścianie siedziby przy Dyrekcyjnej wydrukowane teksty z podkreślonymi na czerwono błędami młodych adeptów. Z czasem stał się „panem Bogdanem", aż w końcu „Bodziem". Dzieliła nas różnica niemal 40 lat, ale nigdy nie czułem, że chciał swoim wiekiem pokazać swoją wyższość. Nawet gdy chciał zwrócić mi uwagę, robił to tak, jakby był moim rówieśnikiem.

Z wielkim wzruszeniem mogę powiedzieć, że był moim kolegą. Uwielbiał rozmawiać. O wszystkim. Przegadaliśmy ze sobą setki, a może tysiące godzin. Dzwoniliśmy do siebie po nocach, niemal codziennie po zakończonej pracy, i rozmawialiśmy o wojnie, o Barcelonie, którą kochał całym sercem, o Lewandowskim, o piosenkach Deep Purple czy o kobietach. Rozpoczynaliśmy rozmowę o północy, a po chwili była już druga nad ranem. Zasypywał mnie anegdotami z przeszłości, opowiadał historie, które przeżył jako dziennikarz. A opowiadać umiał! Do braku tych rozmów chyba nigdy nie będę w stanie przywyknąć.

Choć nigdy Mu o tym nie powiedziałem, był dla mnie mentorem. Na początku mojej przygody ze „Sportem" dzwonił do mnie, żeby wskazać każdą najmniejszą literówkę. Oczywiście robił to w żartobliwym stylu, posyłając w moją stronę groźby karalne, które miałyby się spełnić, gdybym jeszcze raz powtórzył dany błąd. Zaczytywałem się w jego felietonach i komentarzach. Pisał wyjątkowo, niepodrabialnie, zabawnie, wywoływał uśmiech czytelników. Do każdej sytuacji, nawet tej najbardziej niezwykłej, miał przygotowane dowcipne porównanie i zgrabną puentę. Podziwiałem Jego zdolności pisarskie i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę umiał potrafił w tak fenomenalny sposób opisywać rzeczywistość. Po czasie pogodziłem się z myślą, że nigdy Mu nie dorównam. Bo nigdy nie będzie drugiego Bogdana Nathera. Nikt Go nigdy nie zastąpi.

Dziękuję, że miałem zaszczyt Cię poznać. Dziękuję za wszystkie Twoje nauki. Dziękuję, Bodziu, za wszystko!

Kacper Janoszka

Choć ciężko chorował od kilku miesięcy, i On sam, i my w redakcji żyliśmy nadzieją, że zdoła chorobę zwalczyć. Jakżeby inaczej!? Był przecież człowiekiem sportu, a więc walki, rywalizacji, jednocześnie pełnym wigoru, sił witalnych, przepełnionym humorem, czasem i autoironią. Ktoś taki musi żyć, musi być, nade wszystko musi pisać.

Nie dał rady. Wczoraj nadeszła ze szpitala w Jastrzębiu-Zdroju informacja, że Bogdan nie żyje.

Napisać, że ponosimy wielką stratę, że „Sport" ponosi wielką stratę – to jakby nic nie napisać. Był wierny naszemu tytułowi od początku do końca swojej dziennikarskiej przygody. W sumie 40 lat z małym okładem. Pojawił się w redakcji przy ulicy Młyńskiej 1 w Katowicach jeszcze w trakcie studiów, po ich zakończeniu trafił na rok do wojska, a kiedy wrócił, pozostał już na stałe, a właściwie to na zawsze.

Kochał sport i „Sport", kochał piłkę nożną, tę małą, i tę dużą, kochał siatkówkę, kochał też hokej. Akurat on, mieszkaniec Jastrzębia, miał te dyscypliny niejako pod ręką. A dzięki temu pod ręką mieli je także Czytelnicy, bo nic Bogdanowi nie umykało. Jak to rasowy dziennikarz – z łatwością zdobywał informacje, co Czytelników cieszyło, ale też martwiło tych, których te informacje dotyczyły, a zwłaszcza wtedy, kiedy mieli coś na sumieniu.

A Bogdan był bezkompromisowy tak w ujawnianiu różnych spraw i sprawek, jak i w sposobie ich opisywania. Bywało, że miał z tego powodu kłopoty, ale on się ich nie bał. Wystarczyło, że wiedział, iż ma rację, której może dowieść w każdych okolicznościach.

Redaktor Nather poświęcał się pracy w „Sporcie" całym sobą, ale pozostawił sobie też dużo miejsca na pasję muzyczną, a zwłaszcza na muzykę rockową. Tę najpierwszą, tę najpiękniejszą, tę, która w historii sztuki zajęła poczesne miejsce. Led Zeppelin, Pink Floyd, Deep Purple, Black Sabbath, Red Hot Chili Peppers, Nirvana i tak dalej – to były jego klimaty (i wielu z nas). Potrafił o tym mówić bez końca, podobnie jak o... Barcelonie, której markowe ciuchy z upodobaniem kupował i nosił.

Bogdan zwykł pojawiać się w redakcji jako jeden z pierwszych. Ci, którzy przychodzili po nim, mogli się spodziewać, że poczęstuje ich jednym z dowcipów, których miał na podorędziu bez liku, albo dykteryjką ze świata sportu, których również miał nieskończenie wiele, bo też nieskończenie wiele miał w tym światku kontaktów – koleżeńskich i przyjacielskich.

Dało się to odczuć zwłaszcza w ostatnich miesiącach: w szpitalu, w którym Bogdan przebywał, odwiedzało go niemal codziennie mnóstwo ludzi.

A zaczęło się od tego, że kilka miesięcy temu pogotowie zabrało go ze stadionu, na którym pojawił się celem opisania kolejnego meczu. Może tysięcznego w jego dziennikarskiej przygodzie, może trzytysięcznego... Trudno sobie wyobrazić, że nie opisze kolejnych.

Za wcześnie odszedłeś Bogdan, za wcześnie...

W imieniu wydawcy oraz koleżanek i kolegów ze „Sportu"

Andrzej Grygierczyk

■ Pogrzeb Świętej Pamięci Bogdana Nathera odbędzie się w piątek, 31 października. Msza Święta zostanie odprawiona w kościele pw. NMP Matki Kościoła w Jastrzębiu-Zdroju o godzinie 10.00.

ÓJNY NELSON

Bogdan Nather



trada donikąd

dotychczasowa ścieżka zawodowa. Pragnę jednak zwrócić uwagę, że trener legitymujący się licencją UEFA A, czyli taki, który formalnie nie ma prawa prowadzić zespołu w ekstraklasie, tylko niecałe półtora roku prowadził drużynę seniorów! Został bowiem trenerem rezerw Śląska dopiero 1 lipca 2023 roku! A wcześniej? Był trenerem młodzieżówki w klubie Olimpic Wrocław, asystentem trenera rezerw oraz U-19 w Śląsku, potem analitykiem meczowym, skautem, wreszcie szefem skautingu. Gdzie doświadczenie w prowadzeniu zespołu w sytuacjach kryzysowych? A obecny Śląsk jest naprawdę w sytuacji „podbramkowej" i nawet jeżeli wygra w sobotę z Radomiakiem, to jego sytuacja nie ulegnie radykalnej poprawie.

Trener Hetel, wyłączając jego bezkrytycznych popleczników, nie ma na razie żadnych argumentów, by uznać, że jest właściwym człowiekiem na właściwym stanowisku. Pod jego wodzą Śląsk nie wygrał jeszcze ani jednego meczu, zarówno w lidze, jak i w Pucharze Polski. Nie jest dla mnie żadnym argumentem, że miał tylko cztery podejścia. To, co podczas nich robił, czyli żonglerka składem, przypominają próby napicia się wody z węża strażackiego. Znana jest mi maksyma słynnego niemieckiego szkoleniowca Juergena Kloppa, który prowadził między innymi Borussię Dortmund i Liverpool, że „piłka nożna to gra, w którą nie można grać bez popełniania błędów". Tylko że młody szkoleniowiec w krótkim okresie popełnił ich tyle, że głowa boli. Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że działa w myśl zasady „Nie ma to, jak dodać do istniejącego bałaganu odrobinę chaosu".

Jeżeli właściciele klubu z Oporowskiej myślą, że wszystkie ich problemy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w momencie, gdy dostaną obiecanych 20 milionów złotych z kasy miejskiej, to są wyjątkowo naiwni. Jak mawiał bowiem słynny piłkarz, a później trener Johan Cruyff: „Nigdy nie widziałem, by worek z pieniędzmi strzelił gola". Transfery naprawdę niewiele załatwią, trzeba zatrudnić szkoleniowca, który cieszy się autorytetem i ma kilka sukcesów (awanse, utrzymania) w swoim CV. Tymczasem na razie we Wrocławiu obowiązuje zasada, że jak kitować, to dużą szpachlą.

Najwyższa pora, by przestać robić dobrą minę do złej gry i przyznać się publicznie do popełnionych błędów. A jest ich bez liku, o czym świadczy ligowa tabela. Jednak przede wszystkim trzeba zatrudnić fachowców, a nie ludzi, którzy mają tylko „wielką buzię" i mówią na okrągło. Trzeba uruchomić szare komórki i poszukać kompetentnych ludzi, którzy mają cywilną odwagę, by postawić się zwierzchnikom w imię dobrze pojętego interesu klubu i drużyny. Wysiłek intelektualny jeszcze nikogo nie zabił, ja przynajmniej nie słyszałem o takim przypadku.

Sport 6eff6eae49